NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV. Kraków, 9 marca 1907. Nr. 10.

Tajemnicza zbrodnia.

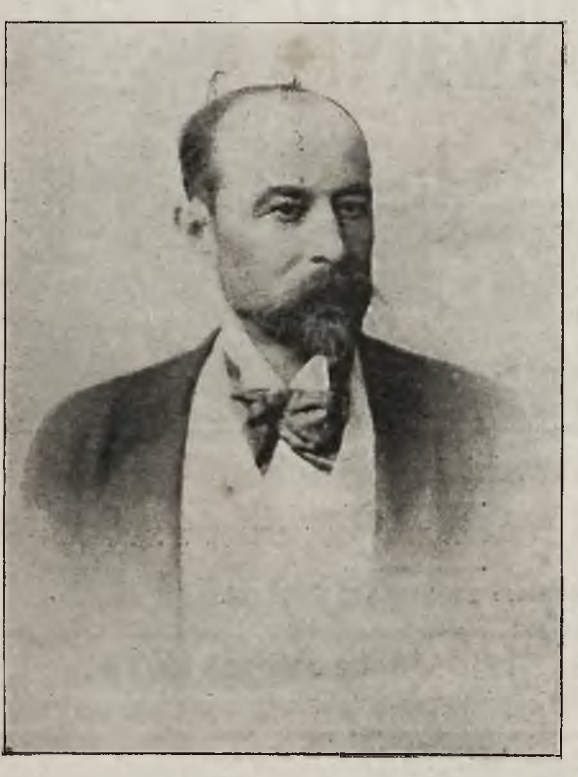
(Treść na stronie 2).



Tajemnicza zbrodnia.

(Do illustracyi tytułowej).

W jednym z domów przy ulicy Kołowcowskiej w Moskwie stróż zauważył o północy kłęby dymu, dobywające się z mieszkania lokatora, który zajął je dopiero tegoż dnia około południa. Zawiadomił



Gal. Tow. kredytowe ziemskie we Lwowie: Prezes Stanisław Brykczyński.

więc co prędzej najbliższy posterunek policyi, który też niezwłocznie przybył na miejsce. Drzwi zastano zamknięte, a poza niemi panowała cisza zupełna, przerywana zaledwie jakgdyby trzaskaniem płonących polan drzewa. Przez szpary już wydobywała się też woń spalenizny. Nie namyślając się, wyłamano drzwi, a wówczas oczom wkraczających do wnętrza przedstawicieli policyi ukazał się obraz zaiste niezwykły. Na środku wykwintnie umeblowanego salonu ułożony był na posadzce stos drzewa, świeżo podpalonego, że niektóre polana płomień dopiero obejmował. Wśród dymu stało umieszczone na poprzek stosu kosztowne łóżko żelazne, z którego pościel całą a nawet materace włósienne strącono na podłogę w kąt pokoju. Na łóżku na samej siatce drucianej spoczywał, w postawie leżącej trup lokatora, człowieka młodego, zdaje się, eleganckiego, który kilka godzin wcześniej wynajął salon umeblowany, zapłaciwszy z góry pięćdziesiąt rubli i zaraz się do nowego mieszkania wprowadził. Po ugaszeniu ognia sędzia śledczy zawezwany na miejsce tajemniczego wypadku, sprawdził, że śmierć owego człowieka nastąpiła wskutek zgruchotania czaszki jakiemś tępem narzędziem Kto zbrodni tej dokonał i następnie ślady jej próbował zatrzeć spaleniem trupa na stosie drzewa — nie wiadomo, jak również nie dało się dojść, kim był zamordowany, w którego ubraniu ani kuferku nic nie znaleziono, coby naprowadziło na ślad jego nazwiska.

Galicyjskie Tow. kredytowe ziemskie.

Jednym z najwybitniejszych czynników, oddziaływujących na ukształtowanie się stosunków własności ziemskiej, jest organizacya kredytu hipotecznego. W chwilach ciężkich przejść, które dotykają ziemian podczas klęsk politycznych lub przemian społecznych, mogą mianowicie kredytowe zakłady hipoteczne wydatnie wpłynąć na złagodzenie przesilenia, dostarczając właścicielom ziemskim środków, do utrzymania się przy posiadaniu ziemi. Zwłaszcza zaś dla narodu polskiego, dla narodu, który utracił byt polityczny, utrzymanie się w posiadaniu ziemi jest rzeczą pierwszorzędnej doniosłości, tem bardziej, że naród to w pierwszej linii rolniczy.

Słusznie też społeczeństwo nasze oddawna zajmowało się żywo organizacyą kredytowych instytucyj hipotecznych w ziemiach polskich, słusznie też ziemiaństwo polskie uważało za jedno z głównych zadań swoich tworzenie towarzystw kredytowych ziemskich, nie obliczonych na zysk, a opartych na zasadzie wzajemności i solidarności.

Trzy wielkie tego rodzaju instytucye powstały na obszarze ziem polskich, a to w Księstwie Poznańskiem — obecnie już nie istniejąca — w Królestwie Polskiem i w Galicyi.

Galicyjskie Towarzystwo kredytowe ziemskie, dziś jedna z najpoważniejszych instytucyj finansowych w naszym kraju, powstała wskutek usilnych starań grona najwybitniejszych ziemian polskich w r. 1842. Długie lata trwały prace przygotowawcze, sprawa założenia tego rodzaju instytutu kredytowego, poruszona w sejmie stanowym jeszcze w r. 1819, musiała przejść przez mnóstwo komisyj, przez rozmaite instancye, zanim ostatecznie statut towarzystwa uchwalono i otrzymano dlań sankcyę monarszą. Na czele pierwszego zarządu, stanął jako prezes książę Leon Sapieha, wybrany na to stanowisko przez sejm stanowy



Gal. Tow. kredytowe ziemskie we Lwowie: Prezes dr. Wł. Kraiński.

w r. 1846. Dyrektorami pierwszymi zostali wybrani Wacław Zaleski i Kazimierz hr. Stadnicki, dalej Kazimierz hr. Krasicki i Hieromin Wysłobocki.

Jak wielką była potrzeba powołania tego rodzaju instytucyi do życia, świadczy fakt, iż zaraz w pierwszym roku działalności udzielono pożyczek hipotecznych na sumę trzy i pół miliona złr. Od tego czasu rozwój tow. kredytowego ziemskiego postępował coraz bardziej naprzód. Obecnie organizacyą swą pokrywa ono niby siecią cały kraj, podzielony na 67 okręgów. Fundusze towarzystwa liczą się na miliony, biura towarzystwa zatrudnia-

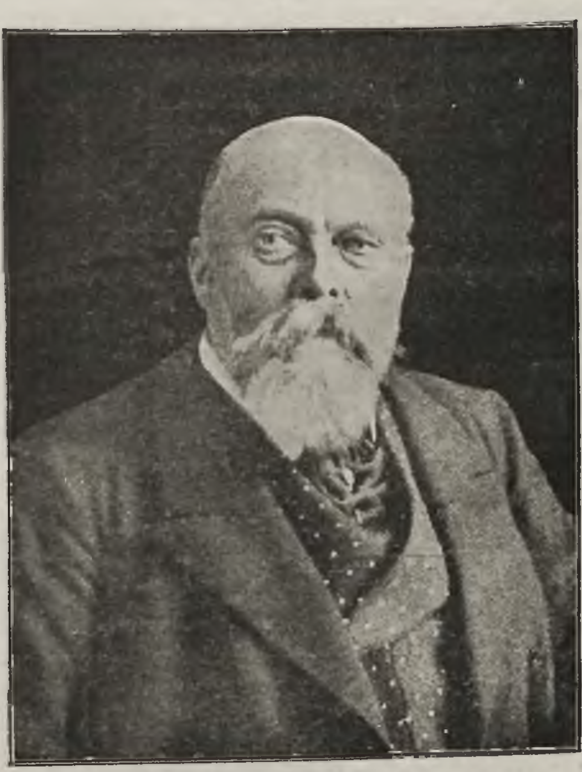


Fot. J. Mieczkowski, Warszawa.

Elekcya warszawska: Po akcie wyborczym w sali kolumnowej Ratusza warszawskiego, grupa elektorów, wraz z nowowybranymi posłami miasta Warszawy do Dumy: Romanem Dmowskim i Franciszkiem Nowodworskim.

ją kilkudziesięciu urzędników. Papiery wartościowe znajdują się w obiegu na wszystkich targach pieniężnych.

Na czele towarzystwa stoi dyrekcya złożona



Nowy sejm Rzeszy: Udo hr. Stolberg-Wernigerode, prezydent parlamentu niemieckiego.

z kilku członków, a prezesem jej jest obecnie poseł dr. Władysław Kraiński. Ogólny kierunek sprawuje w towarzystwie rada nadzorcza, której prezesem jest poseł Stanisław Brykczyński.

Każdego roku odbywa się we Lwowie w pierwszych dniach marca ogólne zgromadzenie delegatów wszystkich okręgów towarzystwa. I w tym roku odbyło się takie zgromadzenie w dniach 28 lutego i 1 marca, a sprawozdanie przedłożone przez dyrekcyę, wykazało nowy, świetny wprost rozwój towarzystwa.

Elekcya warszawska.

W chwili, gdy piszemy te słowa, wyjechali już nasi posłowie z Królestwa do stolicy nad Newą, aby tam dać przynajmniej świadectwo, że narodowość polska pod panowaniem rosyjskiem nie zginęła. zginąć nie może, nie powinna...

Chwile strasznego ucisku, systematycznej później dokuczliwości. zakusy wykreślenia imienia polskiego narodu z rzędu żyjących narodów Europy — przeszły.

Odetchnęliśmy cokolwiek, a to, że utrzymaliśmy się na powierzchni, zawdzięczamy głębokiemu poczuciu solidarności narodowej Polski i Litwy, która czy to na polach Grunwaldu, pod Płockiem, pod Beresteczkiem, czy też pod Maciejowicami, Grochowem lub Kobylanką, dawała nam zwycięstwo, a w chwilach klęski moc wielką do zniesienia jej następstw.

Obecnie nie z bronią w ręku, lecz przy urnie wyborczej znów Warszawa, to serce Polski, nie zawiodła. Dała dowód swej dojrzałości politycznej i gorącego, naprawdę polskiego patryotyzmu. Pomimo nacisku z góry i z dołu, wybrała posłami dwóch ludzi: Nowodworskiego Franciszka i Romana Dmowskiego, co niezawodnie w obecnej Dumie zdołają nieść wysoko sztandar, około którego skupia się nietylko patryotyczna część Polaków z pod zaboru rosyjskiego.

Załączona dzisiaj fotografia nasza zdjęta w poprzednią środę w sali kolumnowej Ratusza natychmiast po akcie wyborczym, przedstawia grupę 80-ciu przeszło „elektorów“, którzy oddali swe głosy wymienionym wyżej posłom, oraz tych dwóch nowych przedstawicieli Warszawy a przyszłych sterowników polityki Koła Polskiego w nowej Dumie.



Głośny aktor: Zmarły w Wiedniu artysta Burgteatru, Józef Lewinsky.

Wielkie katastrofy na morzu.

Przyjemnie jest bardzo, siedząc w dobrze ogrzanym, zacisznym pokoju, podczas gdy na dworze szaleje zawierucha śnieżna, czytać opisy morskich podróży, pełnych przygód i niebezpieczeństw.



Wielkie katastrofy na morzu: Chwila, gdy statek »Berlin« pada ofiarą fal wzburzonego morza.

Ma się wtedy uczucie bezpieczeństwa, spokoju i wygody, a dreszcz, przebiegający nerwy przy opisach dramatycznych momentów, podnosi jedynie nasz zapał do czytania interesującego opowiadania.

Inaczej jednak muszą myśleć i czuć ci, co są

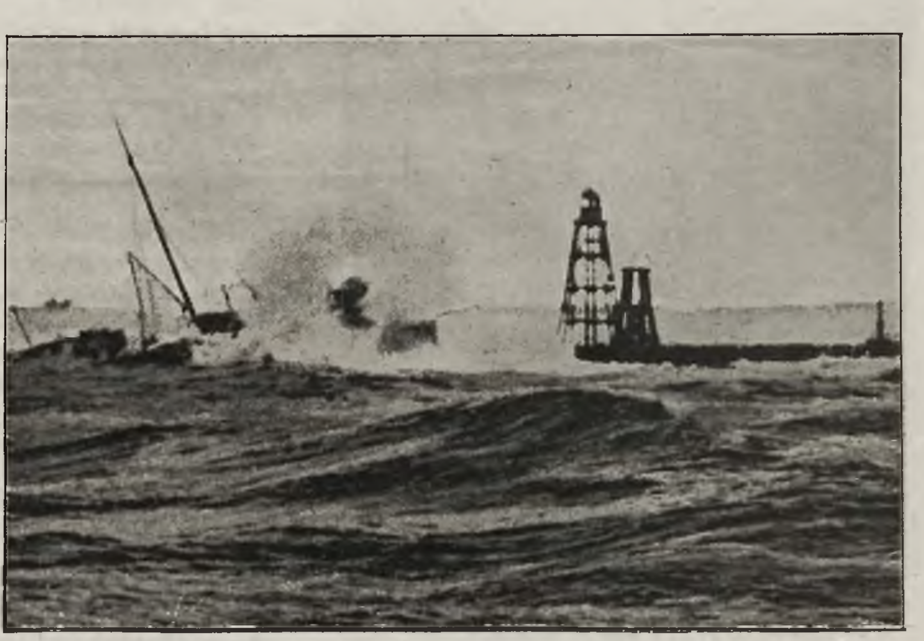


Wielkie katastrofy na morzu: Parowiec Lloyda austryackiego »Imperatrix«, który zatonął na wodach kreteńskich.

rzeczywistymi aktorami już nie dramatów, lecz naprawdę tragedyj, jakie tak często rozgrywają się na morzu. Człowiek, dzięki swej inteligencyi, zdołał już w wielu kierunkach ujarzmić przyrodę, stać się jej panem. Morze jednak, ów potężny, a kapryśny olbrzym, dotąd nie postradało nic ze swej siły, wobec której zawodzą wszelkie wynalazki techniki, a która to siła gubi corocznie dziesiątki tysięcy ludzi.

I znów mamy do zanotowania dwie żywiołowe katastrofy, których ofiarą padły: na Morzu Północnem statek angielski „Berlin“, a na wodach kreteńskich statek „Imperatrix“, będący własnością austryackiego „Lloyda“ w Tryeście.

Pierwszy z tych statków utrzymywał stałą, codzienną komunikacyę między angielskiem miastem portowem Harwich, a holenderskiem miastem Hoeck van Holland, położonem przy ujściu Mozy. Przejazd trwał normalnie 7 godzin. Parowiec „Berlin“ wprawdzie niewielki, bo liczył tylko 1.775 ton pojemności, był jednak bardzo silnie zbudowany, i zaopatrzony obficie w środki ratunkowe. Nic to jednak nie pomogło, gdy 21 lutego, tuż przy porcie w Hoeck, został rzucony siłą szalonego orkanu o „molo“ (kamienną groblę) tenże port okalające. Skutek uderzenia był straszny. W jednej chwili okręt został przepołowiony a przednia jego część zanurzyła się pod wodę. Stało się to o godzinie 5-tej rano. Słyszano z brzegu rozpaczliwe krzyki nieszczęśliwych, lecz nie było sposobu przyjść im z pomocą. Ze 180 osób, które znajdowały się na pokładzie „Berlina“, uratowano w końcu tylko 15 i to jedynie dzięki nadludzkim wysiłkom marynarzy i rybaków. Wśród ofiar katastrofy znaleźli się między innymi, kuryer gabinetowy króla Edwarda, dwóch handlarzy dyamentów, których mieli przy sobie za 20.000.000 fr. przeszło, oraz chór opery niemieckiej, która gościła w Londynie, złożony z 21 osób.



Wielkie katastrofy na morzu: Statek »Berlin«, tonący u wejścia do portu Hoeck van Holland.

Druga katastrofa, tj. rozbicie statku „Imperatrix“, zdarzyła się tuż u przylądka Elaphonisi na południowo-wschodnim krańcu wyspy Krety. Ofiarą jej padło 39 ludzi załogi, a także bogaty, kilka milionów koron wartający ładunek towarów przeznaczonych do Indyj Wschodnich. Dzięki energicznemu ratunkowi, z jakim pospieszyły dwa wojenne statki rosyjskie, jeden włoski i jeden francuski, udało się uratować resztę załogi w liczbie 81 ludzi oraz wszystkich 20 pasażerów, jacy się znajdowali na pokładzie „Imperatrix“. Statek jednak, również jak i bogaty jego ładunek, przepadły.

Podobnie jak przyczyną zguby „Berlina“ był huragan północno-zachodni — tak znów szalony „sirocco“ (wiatr afrykański) wpędził na skały podwodne statek austryacki.



Tragedya w karczmie: W Radomyślu nad Sanem, wymordowanie rodziny żydowskiej przez drwala.

Na wulkanie

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO

na tle ostatnich rozgłośnych wypadków w Królestwie Polskiem.

12 Ciąg dalszy.

Tomasz spojrzał w tym czasie na drzwi komory, przypomniał sobie, że zamknięta, zbladł, i baczniej rozejrzał się po izbie i dostrzegł ich.

— A tobi szczo takoje? — spojrzał strażnik podejrzliwie na pobladłą twarz.

— Cóżby?... nic... słucham pana starszego.

— Nu, tak posłysz moje razporażenie, szczob łoszadi byli doma na moje trebowanie.

— Konie? — spytał niedowierzająco — one w polu, orzą.

— A szczoż meni twoja orka! — śmiał się — tut dieło z buntowszczykamy, budiem iskat po wsiech dorogach, po lasach, tak i znajdom. A widit kto niebut' etych rozbojnikow, tak zwiazat' i dostawit prawitelstwu... takoj prykaz.

Następnie dowiedział się Tomasz, że przy zabitym kozaku postawiono wartę, aż do chwili otrzymania wyższych rozkazów.

Do uszu siedzących doleciał tętent koni, strażnik wyjrzał oknem i zawołał uradowany:

— Wot sławni mołodci idut, kozaki! — dopił resztę z flaszki i wyszedł.

Tomasz odetchnął i pobożnie się przeżegnał, idąc ku ukrytym:

— Opatrzność czuwa nad nami... was powiesiliby, a kto wie, czy nie oparłbym się w katordze. Niema czasu do tracenia... mój chłopak poprowadzi was lasem do drogi, a stamtąd o pięć wiorst do Wnory.

Prowadził ich piętnastoletni Anzelm, syn Tomasza, chłopak sprytny, z wesołemi oczami, któremu ojciec przy rozstaniu zalecił:

— Idź leśną drogą, ale tak, aby ich strażnik, ani kozak nie zobaczył.

Anzelmek wiedział już, podobnie jak cała wieś, że ktoś zabił kozaka, że szukają winnego i domyślał się z różnych drobnych szczegółów, że właśnie ci utłukli kozaka. Patrzał też na nich z wielkim szacunkiem i czuł się dumnym ze swej roli przewodnika, gdyż tym sposobem i on brał udział pośredni w usunięciu znienawidzonego żołnierza.

Szli już blisko godzinę to lasem, to zaroślami i chociaż przyspieszali kroku, słońce poczęło się już skłaniać ku zachodowi.

— Byle za dnia do drogi — westchnął Anzelmek, spoglądając na słońce.

— A daleko?

— Ho, ho! na przełaj przez pola możeby człowiek zaszedł za dwie, albo trzy godziny, ale lasem dłużej.

— To idźmy polami.

— Nie, nie można... Tatuś zakazali, no i was szkoda marnować za jednego kozaka.

— To ty wiesz? — spytał Młot.

— Co nie miałbym wiedzieć? — zaśmiał się — a czy bronił się?

— Nożem chciał dźgnąć.

— A psia para, zbój!... to nożem?! A jak tu trafimy, zabijecie?

— Jeśli nie będzie innego sposobu, to tak — mruknął Marceli.

Wtem zdala odezwały się krzyki, nawoływania, gwizdki strażników.

Nasłuchiwali, a chłopak pobladły spojrzał na nich i szepnął:

— Obława idzie...

Istotnie oficer kozacki kazał strażnikom i kozakom spędzić chłopów z pobliskich wsi, aby przetrząśli lasy pod kierunkiem strażników, a kozaków rozstawił w linię na skraju lasu, aby schwycić przestępców.

Chwilę stali niezdecydowani, starając się przedrzeć oczyma przez gęstwinę drzew i dojrzeć idących.

Nastała cisza, żaden głos nie dochodził ich uszu prócz głuchego poszumu sosen.

Nagle chłopak szarpnął stojącego obok Młota i pokazał skradającego się człowieka. Poznał w nim Młot jednego z towarzyszy, który oddzielił się od nich przy nocnym postoju w karczmie i mimowoli zawołał:

— Michał! Bywaj!

Zawołany drgnął, spojrzał, a widząc znak przywołujący go, zbliżył się.

— To wy? Młot! Marceli! — szepnął uradowany.

— Cicho — rozporządził Marceli i zwracając się do Michała — idź z pięćdziesiąt kroków przodem, legnij, a my pójdziem z obławą, toż i my chłopi.

Towarzysz pobiegł, a Marceli:

— Zważcie na mnie, abyście się nie pogubili... Skoro przyjdą, rozstawimy się w jednej linii z nimi i wprost na towarzysza.

Chłopakowi zaświeciły się oczy, tak mu się ten plan podobał i ta niezwykła przygoda.

Już posłyszeli chrzęst gałęzi i w odległości jakich dwudziestu kroków od siebie zobaczyli chłopa. Marceli podszedł ku niemu i spytał szeptem:

— Złowili którego?

— Nie głupi on czekać — uśmiechnął się — a wy tu czego?

— Nie z ochoty, a z musu.

Z boku pokazał się drugi i trzeci, a Marceli skinął na Młota i Anzelmka, by stanęli w rzędzie, a tak miarkował, aby iść wprost na ukrywającego się towarzysza.

Za linią idących chłopów odezwał się ostry, gruby głos, nawołujący chłopów do ścieśnienia szeregu, Marceli poznał z tonu głosu i akcentu, że to strażnik.

Na razie, jak wskazywał głos, był on z lewej strony, mógł jednak dla dopilnowania linii przejść ku Marcelemu albo dalej na prawo.

Chłopi z pewnem zdziwieniem poznali, że dziwnym trafem znaleźli się wśród nich gospodarze z Jedlinka, w którego kierunku szła właśnie obława, ale milczeli, spoglądając porozumiewawczo na siebie.

Tuż za Marcelem, Młotem i Anzelmkiem, odezwał się gruby głos:

— Stesniaj sia! Stesniaj sia! I szagom!

Marceli drgnął, gdyż o jakie dwadzieścia kroków leżał przypuszczalnie towarzysz. Naprzemian czuł zimne i gorące dreszcze. Obejrzał się. Strażnik szedł ku prawej stronie, lecz stosownie do jego rozkazu chłopi w rzędzie ścieśnili się i niepodobieństwem było, aby z tej lub owej strony nie dojrzano towarzysza.

Znów spojrzał na strażnika, który, jak mu się zdawało, bacznie mu się przyglądał. Istotnie strażnik patrzał na idących, ale jako obcy nie znał się na odcieniach stroju chłopskiego i nie poznał Jedliniaków.

Młot dojrzał za krzem leżącego towarzysza, dał cichy znak Marcelemu, ten głową mu wskazał aby porozumiał się ze sąsiadem. Młot i Marceli szybko podeszli do swych sąsiadów z palcem na ustach i wskazali leżącego.

Chłopi spojrzeli ciekawie na leżącego, na Marcela i Młota, lecz zarazem potakująco skinęli głowami.

I obława przeszła dalej.

Teraz szło o zręczne wycofanie się z idącej gromady. To było jednak łatwiejsze, gdyż w lesie począł mrok gęstszy zapadać, a dozorujący chłopów strażnicy, widząc bezskuteczność obławy, mniej pilnie zważali na linię. To ten, to ów chyłkiem wykradał się, przystając w gęstwinie. Powiodło się też Marcelemu, Młotowi i Anzelmkowi wydobyć się z linii, a towarzysz Michał przyłączył się do nich.

— Możemy iść na przełaj ku drodze — rzekł Marceli, gdy znaleźli się razem — bo cała psiarnia na fałszywym tropie — zatarł ręce z zadowolenia.

Gdy Anzelmek doprowadził do drogi i wskazał kierunek, towarzysze chcieli go obdarzyć, ale on cofnął rękę:

— Nie chcę waszych pieniędzy, daleka wam droga.

— Cóż damy ci na pamiątkę?

— Wystarczy Bóg zapłać... to i ja kiedyś będę taki, jak wy.

Uściskawszy chłopca, poszli szybko ku stacyi; pociąg bowiem odchodził za dwie godziny.

Weszli do sieni budynku stacyjnego, gdzie zastali kilku żydów, oczekujących na otwarcie kasy.

Otworzyło się wreszcie okienko, lecz równocześnie zjawił się żandarm w pobliżu kasy i bacznie obejrzał kupujących.

Pierwszy był Michał, a gdy bilet miał w ręku, żandarm położył mu rękę na ramieniu:

— Izwoltie wasz pasport.

Michał wyjął i oddał. Żandarm przejrzał paszport i spytał:

— A wy od kuda?

— Z Jabłonki.

— Niet u was świdietelstwa — patrzał w paszport.

— Jestem w przejeździe.

Kazał mu rozpiąć palto i rękami obmacał piersi, nogi, plecy, a nie znalazłszy nic podejrzanego, rzekł surowo:

— Stupajtie!

Ta rewizya żandarmska stropiła Marcelego i Młota, gdyż chociażby nie dostrzegł pieniędzy, to ich marynarki miejskie pod sukmaną podałyby ich w podejrzenie, a szczegółowa rewizya odkryłaby sumy pieniężne. Więc zręcznie puścili wpierw żydów do kasy i porozumiawszy się oczyma, poczęli się cofać ku drzwiom.

Spostrzegł to żandarm i krokiem wojskowym zbliżył się ku nim.

— Wasze pasporty?

— Na wozie w torbie... zapomnieliśmy.

Żandarm spojrzał na dwóch żydów, trzymających pasporty w ręku i skinął na nich. Podeszli, obejrzał i zwrócił się do stojących Młota i Marcelego:

— Nu pobaczym etu torbu — uśmiechnął się złośliwie.

Wyszli z budynku stacyjnego, od którego o jakie trzydzieści kroków stała gospoda, a przy niej furmanka, którą ktoś przyjechał.

Nie mogli się porozumieć, żandarm bowiem szedł tuż obok nich i widzieli, iż wziął do lewej ręki gwizdek, a prawą odpiąwszy zapinkę pochwy, położył na kolbie rewolweru.

Podeszli do wozu stojącego, Marceli udał, że szuka, a żandarm patrzał złośliwie.

— Nu nie najszli — zaśmiał się.

— Pewno baba w karczmie, zawołam — rzekł Młot i zrobił ruch ku drzwiom karczmy.

— Ni szagom, bo strilaju! — krzyknął żandarm. — Hej! Chaziajin!

Marceli i Młot zrozumieli, że przyszła chwila rozstrzygająca, śmierć zajrzała im w oczy. Z chwilą, gdy karczmarz powie, iż żadnej kobiety wiejskiej niema, a właściciel wozu się zjawi, żandarm ich pochwyci, zagwiżdże, zbiegną się ludzie i czeka ich stryczek.

Na nieszczęście rewolwery swoje schowali głęboko i starannie i na razie nie mogli ich użyć. Wprawdzie Marceli przeszukując wóz, starał się wydostać rewolwer, lecz nie udało mu się, gdyż żandarm pilnował każdego ruchu.

Bez porozumienia postanowili uciec i korzystając z krótkiej chwili, gdy żandarm zwrócił oczy ku otwierającym się drzwiom karczmy, obaj rzucili się naprzód.

Żandarm krzyknął:

— Pastoj! — i w tej chwili strzelił za uciekającymi.

Kula przeszyła Marcelkowi kapelusz, który spadł mu z głowy, a on sam na chwilę się zatoczył.

Żandarm biegł za nimi.

Marceli już w czasie biegu dobywał rewolweru i teraz, gdy na sekundę wstrzymał się żandarm, odczuł, iż mierzy. Uskoczył więc za przydrożne drzewo, przystanął, wyjął rewolwer i równocześnie padły dwa strzały, żandarma i Marcelka.

Żandarm strzelając w ciemności chybił, natomiast Marceli miał przed sobą żandarma na tle snopa światła, padającego przez otwarte drzwi karczmy.

Kula Marcela strzaskała kolano żandarmowi, który padł z przeraźliwym krzykiem.

Ze stacyi biegli ludzie, inni zjawili się z karczmy, przybiegł i strażnik, zachęcając do pogoni. Widok rannego żandarma odstraszał innych i sam strażnik tylko dla pozoru pobiegł kilkadziesiąt kroków, następnie wrócił, aby zorganizować pościg według zasad policyjnych z meldowaniem, protokółem, rozkazem, rozporządzeniem itd. itd.

Marceli i Młot biegli drogą co tchu, byle oddalić się od stacyi, dopiero gdy żadne odgłosy nie dochodziły ich uszu, przystanęli i odetchnęli.

— Uszliśmy — szepnął Młot.

— Straciłem kapelusz — odezwał się Marceli — dobrze, że bez firmy — zaśmiał się.

Z oddali posłyszeli głuchy łoskot idącego pociągu, spojrzeli w tę stronę.

— Ten miał nas zawieźć — westchnął Młot żałośnie.

— Byle nie w kajdankach — zażartował Marceli — a już czułem stryczek na szyi... Widać, że nam nie sądzono wisieć; gdzież pójdziemy?

— Nie znam drogi... wszystko jedno, byle nie do stacyi.

— Ja właśnie chcę na stacyę — uśmiechnął się Marceli — a że drogi nie znamy, idźmy obok toru kolejowego, może uda się nam wsiąść.

— Ano... chodźmy, bo tu doczekamy się pogoni.

— Możemy ją mieć na karku i gdzieindziej —

dodał Marceli — i wiesz Młot, pierwsza rzecz: zrzućmy sukmany, w naszych marynarkach nie poznają w nas chłopów z Wnor.

— Czy nie lepiej komu darować? — namyślał się Młot.

— Obdarowany zdziwi się i rozgada, a znalazca schowa i zmilczy.

— I to prawda.

Zrzucili sukmany, zwinęli w pakiet, który mógł się zesunąć z wozu.

Po przez pola, utykając na bruzdach, przez mokradła, krzaki, doszli do toru i w pewnem oddaleniu od tegoż szli w kierunku stacyi dalszej.

Zdala spostrzegli ognisko w polu i kilka uwijających się obok niego postaci.

— Cygany, czy pastusi? — mruknął Młot, przystając na chwilę.

Wtem od strony ogniska doleciała ich piosenka ludowa.

— Nasi! — zawołał Marceli — idźże ku nim i kup mi czapkę albo kapelusz, chcę nakryć głowę, zanim mi ją wezmą.

— Aj nie żartuj — westchnął Młot — teraz nam dalej do Warszawy, aniżeli było przy obławie w lesie.

— Ale bez wieści o nas nie będą... Michał im powie, cośmy przeszli.

Weszli na jezdną drogę, opodal której pastusi palili ogień. Poszedł ku nim Młot i po krótkim targu kupił czapkę i dowiedział się, że droga prowadzi w kierunku stacyi, do której teraz zdążali.

Szli zwolna, krok za krokiem, opanowało ich bowiem znużenie i nie chciało się im ani jeść, ani pić, pragnęli jedynie snu i spoczynku. Machinalnie podnosili nogi, szli naprzód, ale oczy im się kleiły i dopiero uderzywszy się o kamień i zatoczywszy do rowu, wracali do przytomności.

— Na bok!... Z drogi! — zawołał ktoś niemal tuż za nimi.

Oprzytomnieli w jednej chwili, odskoczyli w bok i w pomroce dojrzeli konia, wóz i furmana, który ich pozdrowił zwyczajowem:

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki, wieków! A dokąd ojcze jedziecie?

— Do Wiśniowej.

— Czy to pod Łapami?

— A gdzieżby miała być? — zaśmiał się.

— Weźcież nas, zapłacimy.

Po krótkich targach zgodzili się i usadowiwszy się na wozie, wkrótce usnęli. Rozbudził ich brak turkotu wozu.

— Wstawajcie — mówił furman — to już Wiśniowa: aleście spali, jak pomordowani.

— Bo też szliśmy szmat drogi i jeszcze spałbym — ziewnął Marceli.

— A gdzie tu gospoda? — spytał Młot — dam pięćdziesiąt groszy za nocleg.

— I ja także — dorzucił Marceli.

— Gospoda daleko i zamknięta.. jeśli chcecie spać, to możecie legnąć w stajni.

— Bardzo chętnie i zapłacimy, jak w gospodzie.

Stosownie do umowy zbudził ich rano, umyli się, oczyścili i po śniadaniu poszli w kierunku stacyi.

— Nie wyglądasz na rabusia — śmiał się Marceli, przypatrując się towarzyszowi — ale każdy żandarm bez pytania poprowadzi cię do więzienia.

— A tyś mój bliźniak— uśmiechnął się Młot— i ani myślę iść na stacyę.

— I pomyśleć, że mamy pieniądze, aby kupić powóz, konie i jeździć pierwszą klasą, a człowiek tłucze się gorzej żebraka — westchnął Marceli.

— Nie nasze pieniądze, tylko partyjne — rzekł Młot surowo.

— Wiem i dlatego nie pójdę na stacyę; trzeba wpierw rozpatrzeć się.

O kilkanaście kroków przed budynkiem stacyjnym, był rodzaj zajazdu ze szumnym napisem: „Restauracya kolejowa".

Weszli, kazali podać kawy, przypatrując się gościom nielicznym.

Do pokoju restauracyjnego wszedł pospiesznie młody człowiek w mundurze kolejowym i zażądał jedzenia.

Już przy jego wejściu Młot poruszył się niespokojnie, trącił łokciem Marcelka, szepcąc:

— Spójrz na niego.

— Znam ci go — wpatrywał się w przybyłego — ale gdzie? ale kiedy?

Zapomnieli o jedzeniu, tak dalece zajął ich kolejarz, nagle wstał Młot, podszedł do stojącego przy bufecie i skłoniwszy się:

— Prosiłbym na słówko.

Ten wielce zdziwiony przychylił się do żądania a Młot szepnął:

— Towarzyszu, pomóżcie mi dostać się do Warszawy...

— Znacie mnie? — patrzał niedowierzająco.

— Mówiliście, nie wiem, będzie temu dwa tygodnie... na Pradze.. przy ul. Targowej.

— Prawda.. czegoż chcecie towarzyszu?



....Żandarm padł ze strzaskanem kolanem....

— Ja i mój kolega — wskazał na Marcela — musimy dziś być w Warszawie.

— Hm... trochę trudno będzie, bo kontrolor na drodze, ale...

— Bilety kupimy, to rzecz najmniejsza, idzie o to, że żandarmi, strażnicy...

— Rozumiem, więc byliście tam?

— Nie wiem, o czem mówicie.

— Ja swój... Zresztą wszystko jedno, idzie o wasz ratunek, czy i tamten — wskazał na Marcelka — także nasz?

— Tak jest i jeden z lepszych.

— Idźcież bramą magazynową, stróżowi powiecie, że obstalował was magazynier, a gdy nadejdzie pociąg do Warszawy, pójdziecie do trzeciego wagonu za maszyną, ale od strony plantu kolei. Rozumiecie?

— Wiem.

— Tam będę z biletami.

Młot podziękował, odliczył pieniądze należne i wrócił do Marcela.

Opowiedział mu rzecz całą, ten uśmiechnął się zadowolony.

— Nareszcie dojedziemy.

W oznaczonej godzinie byli na plancie, obeszli maszynę, gdy przybiegł towarzysz i cicho szepnął:

— Za wagony! — wskazał na stojące na drugim torze.

Umknęli szybko i udali, że majstrują coś koło wagonów. Po dobrej chwili przyszedł do nich znów towarzysz i rzekł:

— Do brankardu, drugi wagon — oddalił się szybko.

Podeszli i niepostrzeżenie wsiedli do brankardu, przedziału dla służby pociągowej. Pociąg ruszył, zatrzymał się na jednej, na drugiej stacyi, ale towarzysz nie zajrzał do nich.

Dopiero gdy minęli większą, węzłową stacyę w czasie ruchu pociągu, wszedł do brankardu towarzysz i mówił z uśmiechem zadowolenia:

— Macie towarzysze dużo szczęścia, gdyż zaraz na wsiadaniu żandarmi z całą sforą policyi, przetrzęśli cały pociąg. Szukali za towarzyszami wyprawy na kasę i za dwoma chłopami, którzy zranili żandarma wystrzałem. Na pewno byliby się i do was przyczepili, bo aresztowali około dziesięciu..

— Dziękujemy wam towarzyszu — uścisnął rękę — właśnie tych oględzin chcieliśmy uniknąć.

— Nie sądźcie, że na tem koniec — zaśmiał się — wezwano do oficera żandarmskiego całą służbę pociągu i ten obiecał nagrodę i awans temu, kto schwyci którego z rabusiów kasy rządowej... Możeby się i który złakomił w innym czasie, ale my już wiedzieliśmy, że to robota partyjna, bo nasi sztandar zatknęli i pokwitowali, to też każdy z nas kolejowców pragnął z duszy uratować tych dzielnych towarzyszy — spojrzał porozumiewawczo.

— My nie braliśmy udziału w tej wyprawie — mówił Marceli — mieliśmy inną robotę... ale opowiedzcie nam, jeśli łaska wasza.

— Znam tę sprawę tylko ze słyszenia od naszych i żandarmów — i ogólnikowo, opierając się często na fałszywych domysłach; opowiedział im historyę zabrania kasy rządowej.

Zaczęli rozmawiać o sprawach partyjnych, lecz nim skończyli, odezwał się gwizdek maszynisty.

— Stacya — rzekł towarzysz, wstając — możecie wsiąść do trzeciej klasy. Oto wasze bilety.

— Czy tu nie byłoby bezpieczniej? — zawahał się Młot.

— Może zajrzeć ten lub ów i narobi hałasu, a samemu trudno was pilnować, bo mam dużo zajęcia.

Pociąg stanął, wyskoczyli wszyscy trzej z brankardu, a Marceli i Młot usiedli w trzeciej klasie.

Gdy dojeżdżali do Warszawy, rzekł Marceli z pewnem zaniepokojeniem:

— Słuchaj, a jeśli zarządzą rewizyę na dworcu, bo i to możliwe.

— Mamy szczęście przecież, jak twierdził towarzysz... to i unikniemy.

— Gdyby się raz pozbyć tych pieniędzy — westchnął Marceli — bo zginąć samemu to furda ale stracić partyjne pieniądze, to gorzej.

— Masz słuszność, bo chociaż wyśliźniemy się z dworca, przy częstych rewizyach na ulicy mogą nas pochwycić.. a byłoby żal, człowiek tak się namęczył i nakłopotał!

Gdy już raz myśli ich poszły w tym kierunku, stawiała im podniecona wyobraźnia coraz większe niebezpieczeństwa. Pierwszy ocknął się Marceli i rzekł tonem swobodnym:

— Co tam rozwodzić się nad tem, co może być, jak przyjdzie, poradzimy sobie, alboż nie mamy broni?

Dojechali do dworca, wysiedli i zaledwie uszli kilka kroków, gdy ktoś położył rękę na ramieniu Marcelka i zawołał:

— Stój!

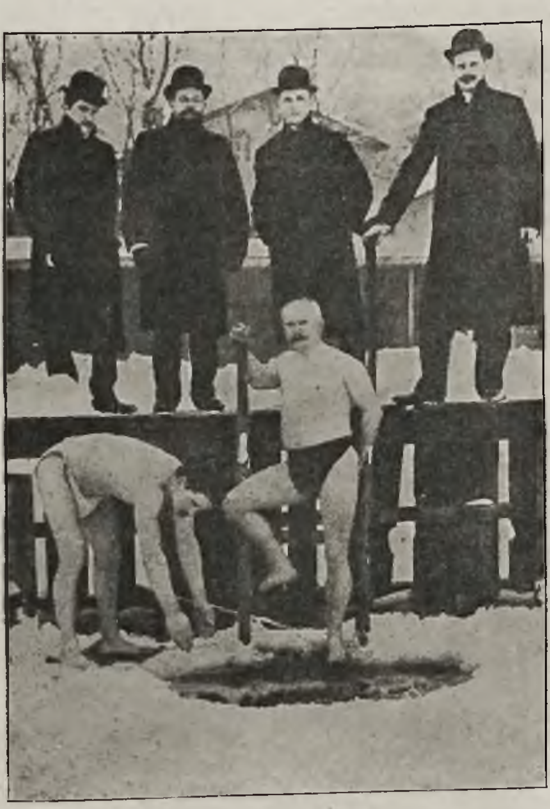
Drgnął Marceli, odwrócił się i ujrzał uradowaną twarz towarzysza Jana, który ucałował jednego i drugiego, mówiąc półgłosem:

— Wracacie z tamtego świata, jużeśmy chcieli stypę za was odprawić, ale Michał zapewniał nas, że żyjecie. Tam czeka was towarzysz Bal—wskazał miejsce.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Niezwykła kąpiel.

Od niepamiętnych czasów zimną wodę uznano jako środek leczniczy, zarówno u ludów cywilizowanych jak i dzikich. Istnieją wprawdzie pod tym względem wyjątki, lecz nie naruszają one reguły. I tak n. p. Japończycy, naród słynny z czystości kąpią się codziennie, począwszy od najuboższego, a skończywszy na Mikadzie, ale w wodzie ciepłej, a właściwie gorącej. Turcy używają bardzo chętnie gorących kąpieli, do zimnej wody jednak czują wstręt nieprzezwyciężony podobnie jak Japończycy; są zresztą narody, które, jak Włosi południowi i Hiszpanie czują wrodzony wstręt do wszelkiego rodzaju kąpieli czy to w gorącej, czy w zimnej wodzie.



Niezwykła kąpiel: Członkowie klubu pływackiego w Reinickendorf, kąpią się w przyrębli przy 11 stopniach zimna.

Jak nas poucza hygiena i praktyka, najzdrowszym rodzajem kąpieli, są kąpiele w zimnej, płynącej wodzie na otwartem powietrzu. Oprócz innych zalet mają i tę, że przyczyniają się do rozwinięcia tak zajmującej i praktyczne zastosowanie mającej gałęzi sportu — pływania. Zajmującą jest ona, bo daje temu, który ją uprawia, zupełne nowe wrażenia, skoro się znajdzie na „żywiole, gdzie niema belek“ — jak mówi Niemiec — a praktyczną, gdyż w danym razie pozwala nietylko swe własne życie ratować, ale także i tych, którym grozi niebezpieczeństwo utonięcia.

Zapaleni zwolennicy tego rodzaju sportu, nie poprzestają jednak na kąpieli w normalnych warunkach temperatury. Niedawno temu odbyły się wyścigi pływania w Medyolanie na rzece Olona przy ciepłocie powietrza wynoszącej — 3° C., co jak na Włochów było dowodem niezwykłej wytrzymałości. Rekord ten pobili jednak niezawodnie członkowie klubu pływackiego „Delfin“ w Reinickendorf, pod Berlinem, którzy postanowili spróbować, jak smakuje kąpiel przy 11° C. Rycina, jaką w dzisiejszym numerze podajemy, przedstawia właśnie chwilę, gdy członkowie owego klubu zamierzają się kąpać w przyrębli, wybitej w powłoce lodowej miejscowego jeziora.

Jeden z dzienników, pisząc o tej oryginalnej antreprizie klubowców z Reinickendorf twierdzi, że nie klubowcy, ale przypatrująca się im publiczność drżała od zimna, czemu zresztą łatwo uwierzyć.

Ofiary orkanu.

Przed tygodniem szalał w Drohobyczu przez kilka godzin niezwykły orkan. O jego sile nadzwyczajnej dowodzi fakt, że z kilkunastu domów zerwał wicher dachy bądź zupełnie, bądź też częściowo. Z wieży miejscowego kościoła rzymsko-katolickiej parafii, wybudowanego za czasów Jagiełły, zerwany został ogromny kawał dachu, który spadł daleko od kościoła. Nieopodal znowu z nowego gmachu pocztowego orkan zerwał cały dach wraz z wiązaniem i przerzucił na drugą stronę ulicy. Właśnie załączona fotografia przedstawia widok gmachu pocztowego już bez dachu, w parę godzin po wypadku. W całem mieście druty telegraficzne i telefoniczne zostały zupełnie zerwane, skutkiem czego zaszła przerwa w komunikacyi. W ciągu kilku godzin ludzie na ulicach padali, nie mogąc utrzymać się na nogach w walce z wichrem szalonym. Wielu przechodniów doznało nawet poważnych obrażeń skutkiem spadania z góry dachówek, gzemsów, okien, lub kawałków zrywanych dachów. W okolicach Drohobycza wicher był jeszcze silniejszy i na gościńcach wywracał jadące wozy z podróżnymi i końmi, nawet z ciężarami.

W Borysławiu jednocześnie przewrócił orkan szyb naftowy „Szarlota“ przy ulicy Kościuszki. Szyb był opuszczony i nikt już w nim nie pracował. Już podczas wiatru do szybu tego weszła uboga kobieta i zaczęła zbierać ropę do palenia, gdy naraz orkan zwalił szyb, zabijając nieszczęśliwą na miejscu. Gdy odkryto tam jej trupa (chwilę tę wyobraża powyżej fotografia), stwierdzono, że była to 43 letnia Antonina Marcela, która osierociła czworo dzieci i męża-kalekę. Następna rycina przedstawia ruiny zwalonego wichrem szybu.



Ofiary orkanu: Uboga kobieta, którą zabił zwalony wichrem szyb »Szarlota« w Borysławiu.

Postęp na polu pedagogii.

System wychowania, przyjęty w austryackiej szkole średniej, posiada tyle wad i braków, że już przeszło od lat trzydziestu rozumnie myślące sfery pedagogiczne wciąż radzą o jego naprawie. Ta naprawa nie jest jednak łatwą. Z jednej strony ogólnie



Ofiary orkanu: Ruiny zwalonego wiatrem szybu naftowego »Szarlota« w Borysławiu.

zakorzenione przesądy, a z drugiej — ów słynny austryacki „Schlendrjan“ rządowy utrudniają wszelką gruntowną reformę szkoły średniej w duchu wymagań zdrowego rozsądku i postępu. Niezawodnie możnaby ułożyć wspaniałą bibliotekę z książek, rozpraw, wyników obrad rozmaitych ankiet i. t. d., tyczących się zreformowania dzisiejszej szkoły średniej. Niestety, są to dotąd tylko „pia



Ofiary orkanu: Widok nowego gmachu pocztowego w Drohobyczu, z którego wicher zerwał dach z wiązaniem.

desideria“, bo szkoła średnia austryacka zachowała dotąd typ, jaki jej nadano jeszcze w latach pięćdziesiątych.

Na tem większe tedy uznanie zasługują usiłowania tych jednostek, które, nie bacząc na uprzedzenia, na trudy osobiste i nieraz pokaźne wydatki z własnej kieszeni, starają się wychowanie młodzieży w szkołach średnich pchnąć na nowe tory.

Miejsce naczelne w szeregu takich jednostek zajmuje bezsprzecznie czcigodny dr. Henryk Jordan, którego zasługi co do fizycznego wychowania młodzieży zbyt dobrze są znane ogółowi, abyśmy potrzebowali je podnosić, a który ostatniemi czasy postarał się o założenie tzw. „szkoły zręczności“ dla młodzieży, uczęszczającej do szkół średnich w Krakowie. W takiej szkole młodzież, pracując przy warsztatach, gdzie przeważnie obrabia drzewo, na-



Postęp na polu pedagogii: Uczniowie szkoły zręczności w Jarosławiu przy warsztacie stolarskim.

biera zręczności w pracy fizycznej, będącej dla niej zarazem rozrywką po mozolnej pracy umysłowej.. Jestto tak zwana, ze szwedzkiego, nauka „slöjdu“.

Dobry przykład bywa nieraz zaraźliwym. Za wzorem dr. Jordana zaczęto w Galicyi coraz więcej zwracać baczną uwagę na fizyczne wychowanie młodzieży szkół średnich, a jedną z ostatnich zdobyczy w tym kierunku jest „Szkoła zręczności“ jaką założył w Jarosławiu pan Jan Paczowski, profesor tamtejszej szkoły realnej.

Celem jego „Szkoły“, którą załczył on w bieżącym roku szkolnym, — jest nietylko zapoznanie uczniów z robotami z żelaza, drzewa i szkła, ale także na podstawie nabytej zręczności, mają oni sporządzać przyrządy fizyczne. Widać z tego programu, że „Szkoła“ ta ma daleko obszerniejszy zakres działania, niż dawniejsze w tym rodzaju, bo uczeń przy sporządzaniu przyrządu fizycznego, zapoznaje się praktycznie z zasadami fizyki. Skutkiem tego nabywa on, oprócz mechanicznej zręczności, także pewną dozę wiedzy.

Skoro uczeń jakiś wzór otrzyma, oczywiście przestudyowawszy odnośną partyę fizyki, przystępuje do wykonania części składowych odpowiedniego przyrządu. Wynika stąd, że uczniowie muszą mieć do czynienia z metalem, blachą, drzewem, rurkami szklanemi, lutowaniem, lakierowaniem itd., jednem słowem, poznają się z techniką pracy przy najrozmaitszych materyałach. Oprócz tego zaś bez rygoru szkolnego zapoznają się z nauką tak skompli-



Postęp na polu pedagogii: Uczniowie szkoły zręczności w Jarosławiu, przy robotach ze szkłem.

kowaną, lecz tak niezbędną dla każdego, jak fizyka.

Podane w dzisiejszym numerze „Nowości Ill“ zdjęcia ze „Szkoły“ prof. Paczowskiego przedstawiają jej uczniów: przy stolarce, przy robotach z żelazem, ze szkłem, oraz przy wykończaniu przyrządów fizycznych.

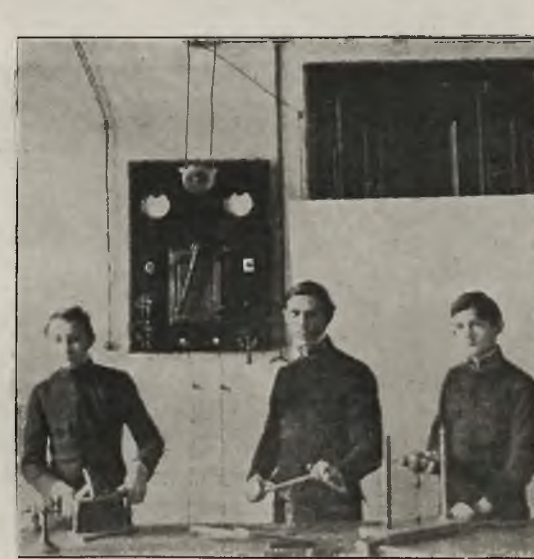
Nadmienić przy tem wypada, że „Szkoła zręczności“ prof. Paczowskiego prowadzona jest przez niego z własnych funduszów i że chociaż tak krótko istnieje, wydała wcale pokaźne rezultaty. Uczniowie bowiem wykonali już dwadzieścia kilka nowych przyrządów fizycznych, a kilka zepsutych naprawili.

Nie wątpimy, że przykład dzielnego, ofiarnego i pełnego inicyatywy jarosławskiego pedagoga, znajdzie licznych naśladowców wśród ciała nauczycielskiego szkół średnich w Galicyi, które rozumie dobrze olbrzymie korzyści, jakie wynikają z nauki zręczności, będącej dopełnieniem obecnego systemu wychowawczego.

„Antkowe wesele“.

Dając niedawno temu najświeższą podobiznę sympatycznego autora „Wicka i Wacka“, zaznaczyliśmy powodzenie zupełne, z jakiem od pierwszej chwili spotkały się u szerszej publiczności trzy nowe jednoaktówki Zygmunta Przybylskiego: „Księżyc i słońce“, „Pożegnanie“ i „Antkowe wesele“.

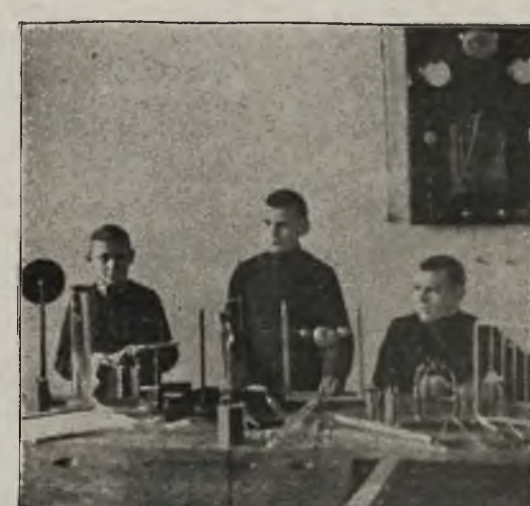
Wśród komitetów teatrów amatorskich w całym kraju radość z tego powodu niezwykła. Wiadomo bowiem, że miłośnicy sceny na prowincyi są w wiecznym kłopocie z powodu braku odpowiedniego repertuaru. Nie wszystko przecież, co wchodzi na deski teatrów zawodowych, nadaje się dla amato-



Postęp na polu pedagogii: Uczniowie szkoły zręczności w Jarosławiu przy robotach z żelazem.

rów, to ze względu na trudność wystawy lub gry aktorskiej, to znów z powodu nastroju ponurego, treści tragicznej lub tematu drastycznego itp. Wybór tedy bywa wogóle trudny między jednoaktówkami nowszej daty, a ze starszych co tylko było do wzięcia, dawno zabrali to amatorzy i co najgorsze, że kilkanaście komedyjek grali już do niemożliwości często, iż wreszcie sama publiczność umie je wszystkie na pamięć wraz z samymi wykonawcami ról...

Ze współczesnych komedyopisarzy jeden tylko Przybylski dostarcza dziś nowego a dobrego repertuaru dla teatrów amatorskich, ku zupełnemu zadowoleniu zarówno wykonawców, jakoteż słuchaczów. Toteż uciecha wielka wśród amatorów prowincyalnych, skoro popularny a płodny autor napisze coś nowego. Teraz zwłaszcza wielkie wśród nich zainteresowanie wzbudziło „Antkowe wesele“.



Postęp na polu pedagogii: Uczniowie szkoły zręczności w Jarosławiu, przy wykończaniu przyrządu fizycznego.

Zadowolimy więc niewątpliwie licznych miłośników, dając im dwie fotografie z tej nowej komedyjki Przybylskiego, granej w miejskim teatrze krakowskim. „Antkowe wesele“ zresztą wysunęło się na pierwsze miejsce ze wszystkich trzech nowych utworów, a to werwą humoru scenicznego i ścisłością obserwacyi, szeregiem podpatrzonych zręcznie scen wesela podmiejskiego, galeryą typów warszawskich, pełnych plastyki, uruchomionych w barwnym wirze zabawy. Prostą akcyę tego drobiazgu urozmaica epizod dramatyczny o silniejszym akcencie, który w Krakowie znalazł wybornych przedstawicieli w pannie Borodzicz i p. Mielewskim.

Na tle weselnego wiru uplastyczniły się też dobrze postacie, odtworzone przez p. Węgrzyna, oraz panie Modzelewską i Słubicką.

Dramat miłosny.

Równoległe do nieszczęść trapiących ogół ludności Warszawy, coraz częściej spadają nieszczęścia na jednostki, rozgrywają się ciche dramaty, których początku należy szukać w politycznych wypadkach ostatnich dwóch lat w Królestwie.

I tak, kilka dni temu znaleziono na jednym z cmentarzy warszawskich zwłoki nieznanej, młodej, przystojnej kobiety, spoczywające na mogile wybitnego bojowca Alberta Jana Najmana. Przy denatce nie znaleziono, oprócz fotografii Najmana, żadnych dokumentów mogących posłużyć do stwierdzenia jej identyczności. Fotografia ta, pochodząca z 1904 roku, nosi napis na odwrotnej stronie: „Gdy ci w życiu co dokuczy, zwróć się do kolegi, gdyż serce jego tętnem przyjaźni dla Ciebie bije", poczem następuje podpis przyjaciela. Najman należał do bojowców jednej z partyj skrajnych i stracił życie z rąk przeciwników politycznych podczas rozruchów, jakie wynikły przy budowie trzeciego mostu na Wiśle pod Warszawą kilka miesięcy temu.

Nie mogła widać przeżyć straty ukochanego owa nieznana z nazwiska kobieta i wybrała raczej śmierć przez otrucie karbolem i merkuryuszem niż życie bez tego, który zdobył sobie jej serce na wieki.

* * *

Ten dramat miłosny, którego aktorów podobizny zamieszczamy w dzisiejszym numerze — to niezawodnie jeden z wielu, wielu podobnych, jakie rozgrywają się tam, gdzie życie społeczne płynie dziś niby dziki, rwący potok górski, co niszczy po drodze z siłą żywiołową wszystkich i wszystko.



»Antkowe wesele«: P. Modzelewska (sklepiczarka Dudzina) i p. Józef Węgrzyn (drużba) w nowej komedyi Z. Przybylskiego p. t. »Antkowe wesele« w teatrze krakowskim.



»Antkowe wesele«: P. Pomian-Borodzicz (panna młoda) w komedyi Z. Przybylskiego »Antkowe wesele« w teatrze krakowskim.

„Car Fiodor Iwanowicz."

Niewątpliwie jedną z najbardziej interesujących premier obecnego sezonu, a zarazem jednem z najświetniejszych przedstawień teatru lwowskiego za dyrekcyi Ludwika Hellera, była nieznana u nas zupełnie, a wybitne miejsce w rosyjskiej twórczości dramatycznej zajmująca, tragedya historyczna Aleksego hr. Tołstoja (ur. 1817, zm. 1875) pod tytułem: „Car Fiodor Iwanowicz". Aleksy Tołstoj, (którego nie należy brać za współczesnego nam, a rozgłośnego w całym świecie hrabiego Lwa z Jasnej Polany) należał do tych nielicznych poetów rosyjskich, którzy stworzyli dramat historyczny. Utwory tego prawdziwego poety w szlachetnym stylu, cechuje obok wysokiej kultury moralnej i artystycznej, zawsze płomienne ukochanie wszystkiego, co jest pięknem, dobrem i prawdą. Powszechnie za najcenniejsze z dzieł jego i za jedno z najwybitniejszych w ogólnym dorobku rosyjskiej twórczości dramatycznej, uznano jego trylogię dramatyczną, Schillerowskiego „Wallensteina" przypominającą układem, a której właśnie środkową część p. t.: „Car Fiodor Iwanowicz" przedstawiono świeżo na scenie lwowskiej w dobrym przekładzie polskim.

Trylogia ta napisana w latach 1865—70, przenosi widza do Moskwy XVI. wieku, a przedstawia upadek dynastyi Rurykowiczów. Jej pierwsza część p. t.: „Śmierć Iwana Groźnego", ma za temat rządy tego władzcy w ostatnim roku jego życia i kończy się jego zgonem. W drugiej części, tej mianowicie, którą grano teraz we Lwowie, wprowadza autor na scenę postać ostatniego Rurykowicza, Fiodora, syna zmarłego Iwana. Ostatnia wreszcie część trylogii, obraca się około o-

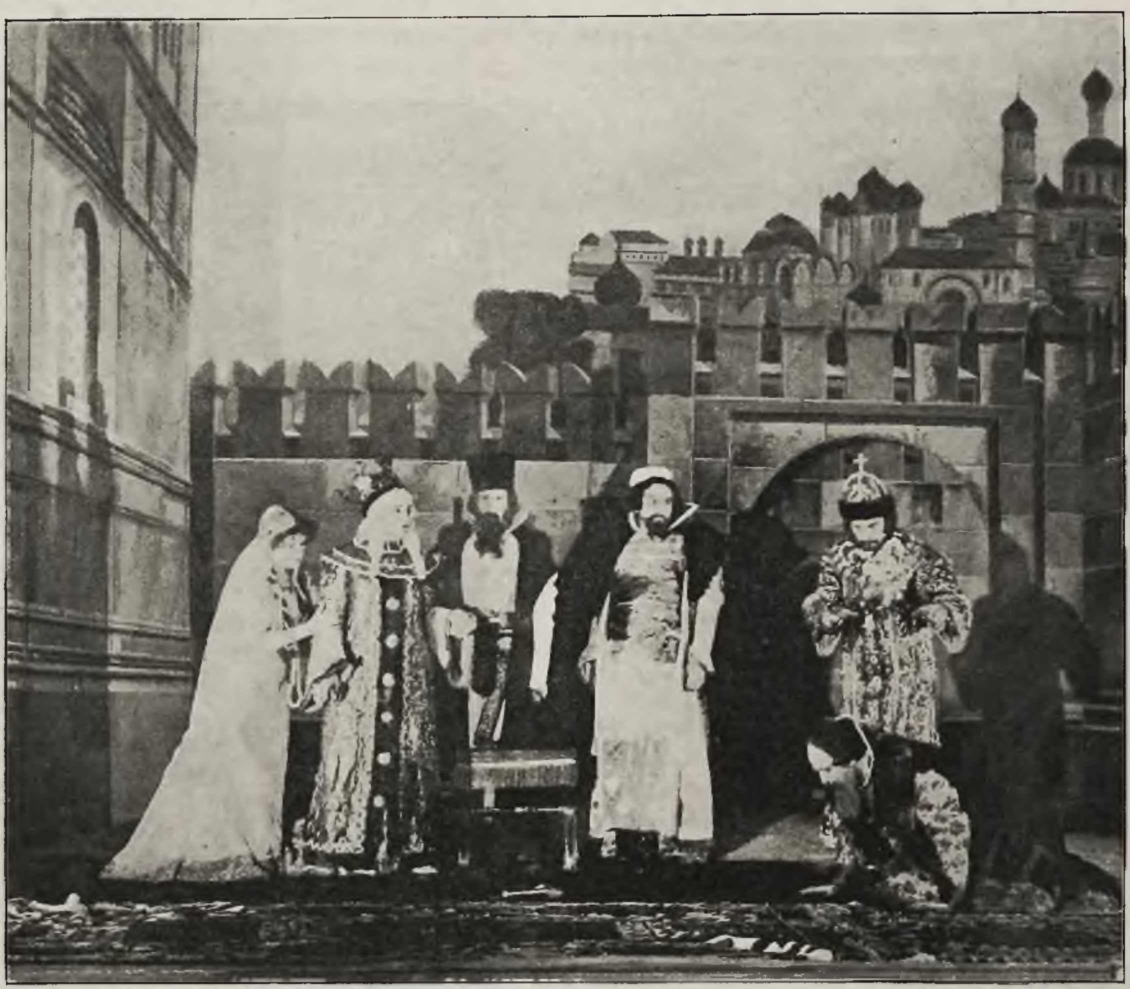


Dramat miłosny: Niedawno w Warszawie zabity bojowiec Najman, na którego grobie otruła się przyjaciółka.



Dramat miłosny: Zwłoki nieznanej kobiety, znalezione na mogile bojowca Najmana w Warszawie.

soby cara Borysa Godunowa, który, ściśle biorąc, jest właściwym bohaterem całej trylogii. Tego niesłychanie przebiegłego człowieka, obdarzonego żelazną siłą woli i energią w działaniu, wprowadza autor zaraz w pierwszej części trylogii.



Fot. T. Bahrynowicz, Lwów.
»**Car Fiodor Iwanowicz**«, tragedya historyczna Al. hr. Tołstoja, na scenie lwowskiej (pp.: Zielińska, Siemaszkowa, Kwiatkiewicz, Hierowski, Wostrowski, Kęcki).

Gdy car Iwan Groźny, trapiony wyrzutami sumienia, chce zrzec się tronu i zamknąć w klasztorze, wtedy w Dumie, która ma zadecydować o wyborze następcy, jedni pragną ustąpienia cara, inni zaś sprzeciwiają się temu. Wtem Borys Godunow skłania Dumę, by udała się do cara, błagać go o pozostanie na tronie. Na czele deputacyi idzie sam Borys, którego namowom car ulega wreszcie i pozostaje. Odtąd jego doradcą i powiernikiem staje się Godunow, a po zgonie cara (do czego sam się głównie przyczynił) staje się faktycznym władzcą w państwie, ponieważ syn zmarłego, Fiodor Iwanowicz, jest tylko powolnem w jego ręku narzędziem i we wszystkiem ulega jego woli.

Treścią właśnie drugiej części trylogii Tołstoja są rządy Godunowa, w zastępstwie słabego monarchy. Patrzymy ciągle na uporczywą walkę na śmierć i życie między Godunowem a kniaziem Szujskim o władzę. Już za życia cara Iwana, Borys starał się usunąć z drogi swojej rycerskiego kniazia, lecz mu się to dopiero za Fiodora udaje podstępem. Zawarł on pozornie przyjaźń z Szujskim, ale wciąż czyha na sposobność zgniecenia go. Okazya się nadarza. Godunow oskarża Szujskiego o spisek przeciw carowi, o spisek, który jest właściwie dziełem samego Borysa. Fiodor rozkazuje wtrącić kniazia do więzienia, a od tej chwili Godunow staje się nieograniczonym panem sytuacyi. Wysłani przez niego do więzienia skrytobójcy mordują kniazia. Lecz ambitnemu Borysowi jeszcze ktoś zawadza. To młody carewicz Dymitr Iwanowicz, wygnany z matką w odległe strony państwa. Kiedy wreszcie i na niego nasłał Borys morderców, przyszło mu już łatwo zasiąść na tronie po śmierci ostatniego Rurykowicza.

Rządy uzurpatora są już treścią trzeciej części trylogii pod nazwą „Car Borys Godunow“.

Druga część trylogii, grana teraz we Lwowie, odznacza się w wyższym stopniu, niż pozostałe, zaletami talentu Tołstoja, a w szczególności mistrzowską, pełną subtelności charakterystyką postaci, obok licznych piękności poetyckich.

* * *

Już na wstępie powiedzieliśmy, że przedstawienie „Cara Fiodora Iwanowicza“ na lwowskiej scenie było w całem tego słowa znaczeniu świetne. Wystawa zaś, w jaką wyposażyła premierę dyrekcya teatru, była wręcz wspaniałą, olśniewała wiernością stylu epoki, bogactwem i malowniczością. Wyzyskano wszystko pod tym względem, opierając się na wzorach, jakich dostarczył do tej sztuki słynny Teatr artystyczny Stanisławskiego w Moskwie. Doskonale też grali tę egzotyczną tragedyę lwowscy artyści: Wostrowski (rolę tytułową), Hierowski (jako Borys Godunow), Szobert (Szujski), Siemaszkawa (carowa Irena), oraz w pomniejszych rolach pp.: Zielińska, Jaworski, Wysocki, Rosiński, Kwiatkiewicz i inni, których widzimy na dwóch załączonych rycinach.



Fot. T. Bahrynowicz, Lwów.
»**Car Fiodor Iwanowicz**«, tragedya historyczna Al. hr. Tołstoja, na scenie lwowskiej (pp.: Sowiński, Kęcki, Klementowicz, Szobert, Wostrowski, Hierowski, Rosiński, Czaki).

Walka o milion.

Powieść na tle notatek amerykańskich detektywów
przez M. Walter
tłomaczył z angielskiego B. Felicyan

10 (Ciąg dalszy).

Mówiła z uniesieniem, płomienna gniewem i energią. Bradmardine nie spodziewał się takiej energii, takiej śmiałości.

Był pewien, że sierotę od razu zastraszy i zmusi do posłuszeństwa. Spotkawszy taki opór i upór, widzi, że raczej spokojną energią i stanowczością niż groźbami celu dosięgnie.

— Pojmuję uniesienie pani; wcale mu się nie dziwię, nawet je oceniam należycie, ale to wszystko, co pani mówi, nie zniewoli mnie wcale do odstąpienia od moich żądań. Skoro pani słyszałaś o mnie od swej matki, to zapewne i to ci powiedziano, że jestem wytrwały, stanowczy, przed niczem się nie cofam, byle celu dopiąć. Na długie rozprawy z panią nie mam czasu. Muszę się spieszyć. Jeżeli mi nie oddasz dobrowolnie wszystkich dokumentów i listów, użyję przemocy, bo je mieć chcę, mieć muszę i mieć będę! Rozumiesz pani? ja je muszę mieć!

To rzekłszy, zbliżył się do Leonory z iskrzącym wzrokiem.

— Precz odemnie! — krzyknęła Leonora, wyprostowawszy się dumnie i wyciągnąła rękę, jakby chwytała za broń.

Bradmardine spostrzegł ten ruch.

— To się na nic nie przyda. Chcesz pani chyba skończyć jak bohaterka tragedyi. Nie sprzeciwiam się temu. Chcesz swojej śmierci, to ją znajdziesz; ja twej broni się nie lękam. Oddaj papiery, które masz pewnie przy sobie.

Z temi słowy rzucił się na Leonorę, schwycił ją za ręce i przewrócić usiłował. I teraz spotkał się z oporem niespodziewanym. Leonora była silną; rozpacz siły jej wzmogła, wyrwała się z rąk napastnika, odepchnęła go tak gwałtownie, że aż się zatoczył o kilka kroków.

— Ha! jędzo piekielna! Dość tego. Giń, przepadnij!

Przyskoczył do Leonory, wściekłość zdwoiła mu siły; chwycił ją za gardło, ścisnął jedną ręką, a drugą szukał papierów. Ryczał z wściekłości, nie mogąc ich znaleść w ubraniu swej ofiary. Leonora raz jeszcze wyrwała się z rąk napastnika, raz jeszcze odepchnęła go, ale siły jej wyczerpane oporem i walką opuszczać ją zaczęły; wydała straszny krzyk rozpaczy i runęła zemdlona na posadzkę.

Bradmardine rzucił się na nią, rozerwał suknię na piersiach i sięgał po ukryte papiery, gdy nagle drzwi się rozwarły, wpadła postać kobieca, napastnika odepchnęła od Leonory i przyłożyła mu do głowy rewolwer.

Leonora ocknęła się z omdlenia. Ze zdumieniem poznała w przybyłej kobiecie siostrę sennora Castro, a jeszcze większe było przerażenie Bradmardina, gdy zobaczył wdowę O' Neil, swą powiernicę, z rewolwerem przy swej głowie. Rozjaśniło mu się teraz, w jaką wpadł matnię. Zaklął strasznie, wściekle.

— Nie gniewaj się pan tak bardzo, sennor Castro, Jason Bradmardine, panie Brady. No, nie ja temu jestem winien, że się panu zachciało mieć kobiecego ajenta policyjnego! No, przecież pysznie wyglądałem, jako wdowa O' Neil. Tak, mój zacny panie Jason Bradmardine, teraz już chyba pojmiesz, że wiem dobrze o wszystkiem, o tym pościgu za tą panią, aby ją pozbawić wszystkiego, a zdobyć milionową sukcesyę, no i tak dalej i tak dalej. Tymczasem zostaniesz tu mój łaskawco, abyś sobie rozmyślał o przeszłości i przyszłości, a pani poszuka sobie bezpiecznego mieszkania.

Bradmardine pienił się ze złości, miotał przekleństwa na Stuarta, ale ten uśmiechał się obojętnie i bawił się widocznie wściekłością zbira.

— Panno Armyn — rzekł Stuart do Leonory z uprzejmym ukłonem — proszę ten rewolwer trzymać nad głową pana Bradmardina, dopóki nie załatwię jeszcze małej formalności.

Leonora pochwyciła rewolwer i mierzyła dobrze w głowę opryszka.

Tchórz, jak każdy nikczemnik, nie opierał się, dał z sobą wszystko robić, co się Stuartowi podobało. Stuart skrępował mu ręce i nogi powrozami.

— Teraz nie będziemy już pana trudzili swoją obecnością. Zapewne się pan dziwisz, jakim sposobem dostałem się tu, tak bardzo w porę, mimo, że pan zamknąłeś pokój? No poprostu przewidziałem pańskie zamiary i przepiłowałem zasuwę u zamka tak, że pod silnem szarpnięciem musiała się złamać. Jeszcze bardziej pana to dziwi, że cię w tej chwili nie oddaję do więzienia; mógłbym to uczynić, ale muszę innym pozostawić przyjemność rozprawienia się z rycerzem, walczącym o milion sierocego spadku. Tymczasem ostrzegam: wara od panny Leonory Armyn, wara od owej kobiety, którą napadłeś raz i ciężko zraniłeś, którą ci drugi raz na ulicy z rąk wydarłem, A jeżeli ci, zacny panie, owych papierów tak bardzo potrzeba, to udaj się po nie do mnie. A teraz wdowa O' Neil żegna cię zacny mistrzu, bo już jej zapewne nie będziesz potrzebował.

Rzuciwszy pogardliwe na Jasona spojrzenie, wyszedł Stuart z Leonorą.

Na schodach zatrzymała się Leonora i rzekła:

— Ocaliłeś mi pan życie. Jestem wdzięczna, bardzo wdzięczna. Śmierci nie lękam się wprawdzie, ale z rąk tego człowieka zginąć nie chciałam. A teraz czy wolno pana o coś zapytać?

— Proszę bardzo.

— W tem przebraniu za kobietę domyślam się pana Neil Stuarta, czy zgadłam?

— Istotnie. Jestem Neil Stuart, gotów służyć pani opieką, jak najlepszy przyjaciel.

— Dziękuję. Czy mam iść z panem?

— Na razie będzie to dla pani najbezpieczniej. Mój powóz czeka pod bramą, zawiozę panią w spokojne i bezpieczne miejsce.

— Dziękuję.

Siedli do powozu, nic do siebie nie mówiąc, bo Stuart nie chciał mówić głosem przybranym a własnym mu nie wypadało w przebraniu kobiecem; Leonora zaś była bardzo zmęczona.

Kilka razy zapytywał Stuart po cichu, czy nie czuje się słabą.

Uspokajała go, dopiero gdy przejeżdżali koło jakiejś apteki, nagle zawołała:

— Słabo mi, mdleję, wody!

Stuart pobiegł do apteki, wraca z wodą, eterem, amoniakiem; spieszy ku powozowi, a w powozie niema Leonory.

XX.

Rozdział bez tytułu.

W mieszkaniu Stuarta była główna kwatera Ferrarsa i Jocellyna. Tam się schodzili, tam naradzali, tam układali plany. Właśnie Francis Ferrars zagrzebał się w stosie papierów, studyował je starannie, rozmyślał nad nimi.

Były to listy Bradmardina, przez Stuarta znalezione i liczne notatki Stuarta.

Nagle wpadł Stuart do pokoju, zrzucił z siebie z pośpiechem ubranie kobiece i usiadł w fotelu, nie mówiąc nic, nie witając się nawet z przyjacielem.

Ferrars patrzał nań zdziwiony, ale mu nie przerywał milczenia. Po chwili zerwał się Stuart, wyciągnął rękę do Ferrarsa i zawołał:

— Dzień dobry. A to dziewucha z piekła rodem! No proszę, wyobraź sobie: uciekła znowu!

— Leonora Armyn?

— A ona, ona! Drugi raz wywiodła mnie w pole!...

— Jakże się to stało?

— Zaraz opowiem. Ale sprytna, niech ją dyabli biorą — dodał, śmiejąc się wesoło.

Chciał opowiadać, gdy zjawił się Jocellyn i, zobaczywszy Stuarta, spytał z uśmiechem:

— Jak się masz wdowo O' Neil? Czy już po robocie?

— Oho! już niema wdowy O' Neil; przepadła na zawsze dla swego pana Bradmardine.

— Ej? cóż takiego?

— Dobrze, żeś w porę przyszedł; nie będę potrzebował dwa razy opowiadać. Siadaj, nie rusz się, nadstawcie uszy obydwaj i słuchajcie.

Stuart opowiedział całą przygodę z wszystkiemi szczegółami; wszystko, co się stało z sennorem Castro i z Leonorą; jak przepiłował zamki, jak za drzwiami przysłuchiwał się rozmowie Bradmardina z Leonorą, jak ją obronił a Bradmardina związał i jak mu Leonora uciekła.

— Dwie godziny szukałem jej po całem mieście. Znikła, jakby w ziemię zapadła.

— A mówię ci zawsze Neil, że kobieta nawet dyabła w pole wywiedzie, a nie dopiero Stuarta — żartował Jocellyn.

— Żart żartem, moi drodzy — rzekł Ferrars — ale co teraz?

— Trzeba Leonory szukać — odpowiedział Stuart. — Ja się tego już nie podejmę. Raz dla tego, że mnie zna i zawsze się spłoszy; nie mam do niej szczęścia; a powtóre dla tego, że ona mi zupełnie niepotrzebna.

— A podejrzenia o morderstwo męża? — wtrącił Ferrars.

— Bezpodstawne! Ona niewinna, za to ręczę i wnet będą na to dowody. Niech jej szuka Ferrars, jako dziedziczki miliona.

— A Bradmardine?

— Związany w mieszkaniu wdowy O' Neil. Zajmijcie się jego losem; mnie już pilno do zamieszkania z piękną panną.

— Żartujesz — rzekł Jocellyn — a to przecież sprawy tak ważne.

— Właśnie dlatego pilno mi do ładnej panny.

— Nie rozumiem.

— Cierpliwości. A co do Leonory, zaręczam ponownie, że niewinna. Ukrywa jakąś tajemnicę, którą tu z sobą przywiozła już ze wsi i dlatego ucieka, chowa się, chroni, ale morderczynią nie jest i być nie mogła. Wierzcie mi, zapewniam stanowczo. Dowiecie się nie długo. A teraz bądźcie zdrowi.

Uporządkował na sobie ubranie i wyszedł.

XXI.

Niepotrzebny kuzynek.

Upłynął tydzień od owego dnia i trzej przyjaciele przez ten czas prawie nie widzieli się ze sobą. Stuart przepadł bez wieści. Jocellyn i Ferrars tyle mieli zajęcia, że na schadzkę nie było czasu.

Tymczasem Durand wyjechał nagle w interesach do St. Louis, a że lekarz doradził jego żonie zmianę powietrza, więc i ona pojechała z mężem. Laura została sama. Żeby jej oszczędzić kłopotów z dozieraniem służby i gospodarstwem, przyjęto na kilka tygodni bardzo przyzwoitą osobę starszą do zarządu domem.

Był dzień chłodny, ponury, dżdżysty. Laura siedziała w swym buduarze przy kominku i piła czekoladę.

Ubrana, jak zawsze, z gustem i przepychem. Służący podał na srebrnej tacy listy z poczty przyniesione.

Ujęła pierwszy z kraju.

Uśmiecha się radośnie; czyta:

„Korespondencya z panią uszczęśliwia mnie prawdziwie. Otrzymałem bilet pani, niestety tak oszczędny w słowach. I za to dziękuję pełen wdzięczności. Wiadomość o przyjeździe rodziców pani zdziwiła mnie niezmiernie. Prawdziwa to dla mnie niespodzianka. Pewnie pani dotkliwie uczuwa swoje osamotnienie. Nie wiem, kiedy będę mógł wrócić do Chicago, ale gdy wrócę, pierwsze kroki skieruję ku tej, która mi pozwoliła łaskawie nazywać się swoim wiernym przyjacielem.

Neil Stuart“.

— Doskonale! wybornie! — szeptała do siebie Laura. — Głupiec! wpada już w sieci. Rozkocham go, roznamiętnię i wtedy będzie dla mnie znakomitem narzędziem do zdławienia tej jędzy. Nelly Brown zginie z jego ręki.

Zatarła ręce z radości. Bierze list drugi. Ten ją zachmurzył:

„Droga moja Lauro!

Dziwię się, że tak bardzo zapominasz o mnie. To się nie godzi. Stęskniona za Twem towarzystwem, przybędę do Ciebie. Musisz pojechać ze mną na sprawunki. Każ, aby powóz był w pogotowiu. Twoja do śmierci

Nelly Brown“.

— Bezwstydna! — syczała Laura — zuchwała! Oby już raz kark jej skręcić!

Trzeci list rozgniewał ją jeszcze bardziej:

„Moje kochane dziecko!

Przybyliśmy tu szczęśliwie. Ciesz się, bo matka znacznie zdrowsza. Prawdopodobnie zatrzymamy się tu nieco dłużej dla spraw bardzo ważnych, ale Tobie uprzyjemnimy osamotnienie, bo przybędzie do Ciebie mój bratanek.

„Gdyśmy Cię adoptowali, mieliśmy zamiar pozostawić ci w spadku cały nasz majątek, bo nie wiedziałem wówczas, że mam bliskiego krewnego. Miałem wprawdzie brata, ale jeszcze w młodzieńczych latach opuścił dom rodzicielski i przepadł gdzieś bez wieści. Byliśmy przekonani, że umarł bezpotomnie. Tymczasem wczoraj zjawił się u nas młody człowiek i udowodnił metrykami, że jest

jedynym synem mego brata, zmarłego niedawno w wielkiem ubóstwie. Oczywiście, że mam święty obowiązek zaopiekować się opuszczonym sierotą, i uczynić go moim spadkobiercą. Ty atoli kochane dziecko nie lękaj się o swoją przyszłość. Otrzymasz od nas znaczny kapitał, abyś z procentów od niego wygodnie, bez troski żyć mogła, albo na posag go obróciła, jeżeliby ci za mąż wyjść wypadło.

„Mój bratanek Artur przyjedzie w piątek do Chicago i oczywiście zamieszka u nas. Bądź tak dobra, staraj się o to, aby mu na niczem nie zbywało. Niech mu pani Richards urządzi wygodny pokój, a Ty, moje dziecko, bądź dla niego miłą towarzyszką i uważaj go za swojego kuzynka.

„Spodziewam się, że mu nie odmówisz sympatyi, a bardzoby mnie ucieszyło, gdyby Was z czasem silniejsze węzły połączyły. Równocześnie piszę i do niego, a pani Richards wręczy mu list, gdy się zgłosi. Przyjm od nas obojga serdeczne uściśnienia. Twój

H. Durand".

Przeczytawszy ten list, Laura skamieniała. Ścisnęła ręce kurczowo, osłupiałym wzrokiem spoglądała w dal, jakby jakieś dziwne widmo zoczyła.

Po chwili przetarła oczy, przyłożyła dłonie do czoła, jakby ze snu twardego zbudzona. Zerwała się z siedzenia, pobiegła do szafy, porwała jakiś flakonik i przyłożyła go do ust.

Krople ją uspokoiły. Zaczęła ponownie list czytać i czytała do końca.

— Ha! ha! myślicie, że tak łatwo pozwolę się pozbawić milionów, które odziedziczyć miałam? — szeptała do siebie. — O, ty niepotrzebny kuzynku, pożałujesz swojej wizyty w Chicago. W piątek ma przybyć! Ależ to dziś! A więc już tak prędko! Przybywaj sobie niepotrzebny kuzynku!

Zadzwoniła i kazała zawołać pani Richards; potem schowała dwa listy, a ten od Nelly Brown zmięła w dłoni i rzuciła na kominek; ale do ognia nie wpadł, jeno przed kominek się potoczył.

W kilka minut zjawiła się pani Richards, osoba bardzo miła, wielce podobna do tej, którą przed kilku miesiącami Stuart od mordercy uwolnił, a potem wyrwał na ulicy z rąk Bradmardina.

— Niech pani siada — rzekła Laura bardzo uprzejmie.

— Ależ to dziś chłodno — mówiła pani Richards — siądę sobie przy kominku. O, już ogień dogasa, możeby dołożyć drzewa?

— Dziękuję pani, to niepotrzebne; ja lubię chłód. Czy pani wiadomo, że gość do nas przyjedzie?

— O tak; właśnie pisał do mnie pan Durand, że jego bratanek będzie tu mieszkał i polecił mi w urządzeniu dla niego pokoju stosować się do życzeń pani.

— Ojciec pisze, że kuzynek przybędzie w piątek, a więc już dziś. Musimy go przyjąć wspaniale. Ale, ale, pani otrzymała podobno list do kuzynka Artura?

— A tak.

— Chciałabym go sama wręczyć kuzynkowi; niech mi pani ten list przez służącą przyszle.

— I owszem. Teraz muszę poczynić przygotowania, dopatrzeć obiadu.

Wstając z krzesła upuściła przy kominku chustkę do nosa.

— A! moja chustka — zawołała, schyliła się prędko, podniosła ją a wraz z chustką i zmięty list od Nelly Brown.

Upłynęło pół godziny; Laura doczekać się nie mogła listu, więc posłała służącą. Pani Richards kazała przeprosić, że gdzieś list zapodziała i znaleść nie może, ale natychmiast go sama przyniesie, skoro tylko wyszuka.

Tymczasem nadeszło południe i właśnie, gdy Laura kończyła się przystrajać, anonsowano Artura Duranda.

Laura przyjęła go z uprzedzającą grzecznością, sama go zaprowadziła do pokoju, który mu przygotowano, okazywała największą troskliwość o to, aby miał urządzenie jak najwygodniejsze.

Wywarł na nią wrażenie nieszczególne; wyglądał na studenta mało obytego w świecie. Niezgrabny, nieśmiały, blady i mizerny, jasny blondyn, nie podobał się Leonorze. Było w nim coś chorowitego. Opowiadał, że ojciec polecił mu uczyć się prawa i zostać kiedyś adwokatem, ale on do tego nie ma żadnej ochoty, więc teraz, gdy stryj się nim zaopiekował, zabierze się do czego innego. Laura podtrzymywała tę rozmowę z uprzejmością grzecznej gospodyni, ale wnet ją to znudziło, więc pożegnała kuzynka i udała się do swego buduaru.

Zeszli się dopiero przy obiedzie.

Zaledwie wstali od stołu i udali się do salonu, zaanonsował służący pannę Brown.

— Poprosić do salonu.

Weszła Nelly, ubrana bardzo elegancko, z tą pewnością i śmiałością, z jaką wchodzić się zwykło do serdecznych przyjaciół. Laura przywitała



Zobaczył dwie kobiety, jak przez okno spoglądały na oświetloną ulicę..

się z udaną słodyczą, przedstawiła jej Artura i wciąż tytułowała ją najdroższą przyjaciółką.

Artur ukłonił się niezgrabnie, bąknął kilka słów o pogodzie, potem rozsiadł się w fotelu i do rozmowy przyjaciółek nie mieszał się wcale.

— A więc pojedziesz ze mną na sprawunki — odezwała się Nelly takim tonem, że brzmiało to raczej jak rozkaz, niż zapytanie; a pan zapewne wybaczy, że Laura pana opuści.

— Bardzo proszę mną się nie krępować — rzekł Artur — ale jeżeli mam prawdę powiedzieć, to wolałbym z paniami pojechać.

— Czy tak? — odezwała się Laura, spoglądając kokieteryjnie na Artura. — Jeżeli ci to przyjemność sprawi, kochany kuzynku, to pojedziesz z nami.

Pannie Brown było to nie na rękę, ale nie chciała tego dać poznać po sobie, tylko odezwała się do Laury:

— Może przejdziemy do buduaru i naradzimy się jeszcze nad sprawunkami. Takie narady kobiece znudziłyby pana zapewne.

— Nie chciałbym paniom przeszkadzać. Skorzystam z tego czasu, gdy panie będą się naradzały i napiszę do stryjaszka.

To rzekłszy, wyszedł ze salonu, ziewając.

— Święty Boże! cóż to za gamoń — zawołała Nelly oburzona — gdzieżeś go sobie wyszukała?

— Nie szukałam go wcale. Jest to bratanek mego przybranego ojca i do tego bardzo bogaty — dodała z naciskiem.

— Czy możemy swobodnie rozmawiać?

— Najswobodniej; tu nas nikt nie usłyszy i dlatego zapytuję się pani, czego sobie właściwie życzysz? Postępowanie pani zaczyna być natrętne!

Nelly wzruszyła ramionami i rzekła spokojnie:

— Zapominasz pani, że pewne okoliczności pozwalają mi na to.

— A ja myślę, że pewne okoliczności mnie pozwalają pozbyć się raz na zawsze towarzystwa pani.

— Ha! ha! ha! szczególna pomyłka — rzekła szyderczo panna Brown i zaczęła Laurze coś szeptać do ucha.

Laura zadrżała i zbladła, ale wnet opanowała się zupełnie i wzamian pannie Brown pocichu coś powiedziała.

Wtedy Nelly przeraziła się, ust nie mogła otworzyć, płomienie na twarz jej wystąpiły.

— A widzisz, że jesteś w mojej mocy — mówiła Laura — i bardziej ty mnie lękać się musisz, niż ja ciebie.

Nelly ocknęła się, opanowała zupełnie i wyjąwszy portmonetkę z kieszeni, dobyła z niej kawałek czarnej materyi; trzymając ją w palcach, podsunęła Laurze pod oczy i rzekła, cedząc każde słowo z naciskiem:

— Czy pani to zna? A wiesz gdzie to znalazłam i co to znaczy? To bardzo wymowne i dlatego radzę nie straszyć mnie groźbami.

To rzekłszy schowała kawałek czarnej materyjki do portmonetki, z lodowatym spokojem. Laura walczyła z niepokojem i wzburzeniem, chciała je pokryć obojętnością, ale było widoczne, że ten kawałek czarnej materyi i lodowate słowa Nelly, zadały jej cios dotkliwy.

Nelly to dobrze widziała i dlatego, chcąc wyzyskać zwycięstwo, postanowiła jeszcze jeden cios zadać nieprzyjacielowi.

— Otóż radzę ci panno Lauro nie sprzeciwiać mi się w niczem. W przyszłym tygodniu będzie w klubie bal maskowy; ja pójdę i pani również.

— Coż to? rozkazy?

— Nie rozkazuję wcale, ale pani sama uznasz, że to potrzebne, aby niejednego się dowiedzieć. Ale, ale...— co porabia przyjaciel pani ajent Stuart.

— Czy pani nim się interesuje?

— Panem Stuart mało, ale interesuję się panią. Wszakże tyle nas rzeczy łączy, że nietylko mogę, ale muszę interesować się wszystkiem, co dotyczy osoby pani. Czy pani ma jakie zamiary względem niego?

— Jakto zamiary?

— No, tak, zamiary małżeńskie; nie myślę przecież, abyś powzięła zamiar zamordować pana Stuarta.

— Stuart jest moim przyjacielem.

— No i powiernikiem.

Laura chciała coś w rozdrażnieniu odpowiedzieć, ale się powstrzymała, zadzwoniła, kazała służącemu, aby powóz zajechał i poszła do buduaru przebrać się na ulicę.

W kwadrans potem jechały obydwie z kuzynkiem Arturem w takiej harmonii, jakby je najlepsza przyjaźń łączyła.

Zaledwie wyjechały, zawołała pani Richards pokojówkę i rzekła do niej bardzo uprzejmie:

— Dokucza mi reumatyzm, a muszę prędko list napisać; proszę cię, wyręcz mnie i napisz, co ci podyktuję.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Przed zebraniem się drugiej Dumy.

Poprzednio już zapoznawaliśmy Czytelników z epizodami, tyczącymi się przygotowań przed zebraniem się drugiego z rzędu parlamentu rosyjskiego, jaki wyszedł z wyborów bieżącego roku. Dziś znow podajemy dwa zdjęcia, przedstawiające lokale wyborcze podczas głosowania, i to zdjęcia, które pochodzą z samego serca Rosyi, z „Matuszki-Moskwy“.

Nie zawadzi przytem przypomnieć, że Moskwa na którą sfery reakcyjne tak wiele liczyły, wybrała samych posłów „kadetów“, więc najtęższe podpory opozycyi a wrogów obecnego systemu rządów pod wodzą Stołypina. W tym wypadku odwieczna stolica władców rosyjskich, miasto, gdzie mieści się „sorok soroków cerkwiej“, sprzeniewierzyło się swym dawnym tradycyom, a natomiast pozostało wierne świeższym przekonaniom, których wyrazem była rewolucya w grudniu 1905 roku.

Ile krwi przelano podczas tłumienia tej rewolucyi, ile padło tam ofiar zupełnie niewinnych, o tem możnaby pisać tomy. Faktem jednak pozostanie, że Moskwa i Petersburg, gdy zaświtała nad niemi zorza „nowego kursu“, umiały wyzyskać ten powiew wolności, wysyłając wolnomyślnych posłów do drugiej Dumy.

Czy to na długo pomoże uciemiężonym żywiołom liberalnym w Rosyi — przekonamy się wkrótce, skoro „ojcowie“ państwa rosyjskiego zbiorą się i poczną obradować w pałacu Taurydzkim nad brzegami Newy.

Wyrodna matka.

W każdem środowisku, mieszczącem w sobie większą liczbę ludzi, a więc po miastach, zdarzają się rozmaitego rodzaju zbrodnie, które są poniekąd wynikiem właśnie tych stosunków, jakie tam w niezdrowej atmosferze wielkomiejskiej panują. Jedną niestety z cięższych, a nawet najcięższych zbrodni, zdarzających się właśnie najczęściej po miastach, jest dzieciobójstwo, akt zwyrodnienia, przejmujący zgrozą, boć nawet zwierzęta — z bardzo nielicznymi wyjątkami — dbają troskliwie o życie swego potomstwa.

Niestety mamy znów do zanotowania fakt potwornego, bo premedytowanego dzieciobójstwa w Krakowie, które wyrodna matka popełniła nie pod wpływem chwilowego bólu, lub szału, lecz na podstawie z góry ułożonego i obmyślanego planu.

W ostatnim tygodniu ubiegłego miesiąca doniesiono policyi krakowskiej, że w piwnicy domu l. 17 przy ul. Stradom znajdują się zwłoki jednorocznego dziecka płci męskiej. Natychmiast wdrożone śledztwo wykazało, że matką tego nieszczęsnego dziecięcia jest niejaka Chaja (Sabina) Czarna, żydówka, służąca z tej samej kamienicy. Zbrodniarka tłomaczyła się początkowo, że niejaka Braunowa, zamieszkała w Otwinowie pod Tarnowem, matka jej uwodziciela, a tem samem babka jej nieślubnego dziecka. zabrała je do siebie przed dwoma tygodniami i że nie wie nic o tem, co się później z dzieckiem stało.

Po sprowadzeniu do Krakowa Braunowej i po skonfrontowaniu jej z Czarną, prawda wyszła na wierzch. Czarna bowiem przyznała się, że pragnęła pozbyć się dziecka, które stanowiło przeszkodę w jej dalszej „karyerze“, a nie mogąc się doczekać, aby jej uwodziciel Braun, pojął ją za żonę, postanowiła pozbyć się malca za wszelką cenę. Wtym celu porzuciła dziecko w piwnicy przy 16° mrozu, gdzie też biedactwo zamarzło.

W dzisiejszym numerze podajemy podobiznę dzieciobójczyni wraz z ojcem jej dziecka, młodym Braunem, który łudził ją obietnicami małżeństwa.



Przed zebraniem się nowej Dumy: Wybory posłów w Moskwie.

Głośny aktor.

(Do portretu na stronie 3.)

Głośny aktor Burgu wiedeńskiego, Józef Lewinsky, zmarł w Wiedniu, przeżywszy lat 71. Od zwyczajnego statysty zacząwszy karyerę teatralną, wzniósł się Lewinsky na szczyty, został mistrzem swojej sztuki, pierwszorzędnym przedstawicielem ról charakterystycznych. Do Burgu zaangażował go Henryk Laube, który w podrzędnym aktorze prowincyonalnym odkrył wielki talent i pewnego dnia ku niemałemu zdziwieniu młodego artysty, powierzył mu rolę Franciszka Moora w „Zbójcach“.

Od tego czasu sława Lewinskyego była ustaloną. Rozwijał się coraz potężniej, nie ustając w pracy, a jego Jagon, Ryszard III, Mefisto itp. stali się z czasem postaciami, z których inni artyści brali wzory.

Dodać wszakże należy, iż obdarzony dużą inteligencyą, posiadał Lewinsky gruntowne wykształcenie literacko-artystyczne.

Był on też niepospolitym recytatorem i w tym charakterze poznała go publiczność galicyjska, gdy odbywał kilkakrotnie podróże artystyczne po naszym kraju.

Ostatni raz był we Lwowie przed ośmiu laty. Deklamował wtedy „Bezrobocie kowali“ Coppégo i odegrał rolę wójta w jednoaktówce „Stłuczony dzban“, oprócz udziału w wykonaniu dramatow Schillerowskich.

Od roku 1865 Lewinsky sprawował czynności reżysera Burgteatru wiedeńskiego.

W ostatnich czasach musiał się usunąć od występów aktorskich, skutkiem choroby. Od chwili gdy nawiedził znakomitego artystę silny atak apoplektyczny, życie jego gasło powoli. Wiedeńczycy podziwiali go po raz ostatni w maju ubiegłego roku na scenie.



Przed zebraniem się nowej Dumy: Wybory posłów w Moskwie.



Wyrodna matka: Chaja Czarna wraz z ojcem jej dziecka, które zgładziła ze świata.

Kronika tygodniowa.

Tak długo ciemiężyliśmy Rusinów, aż cała Europa, reprezentowana przez dziennikarstwo wiedeńskie, ujęła się za nimi. Jest to rzeczywiście rzecz niesłychana, aby szowinistyczne polskie sądy kazały uwięzić kwiat ruskiej młodzieży, całą nadzieję przyszłej, wolnej Ukrainy, i to za co? Za jedną chwilę patryotycznego uniesienia, za wybuch młodzieńczego temperamentu. Zburzono Jerozolimę a sąd lwowski milczał, Herostrat spalił świątynię w Efezie, a sąd lwowski nie wysłał za nim nawet listów gończych, Atylla ogniem i mieczem pustoszył całą Europę, a sąd lwowski nie pociągnął go do odpowiedzialności za złośliwe uszkodzenie cudzej własności — ale kiedy grono wyborowej, bohaterskiej młodzieży połamało trochę głupich stołków, pokrajało kilka marnych portretów, popsuło nieco lamp i uszkodziło nieco czaszkę jakiegoś tam piwiarza, czy winiarza, sąd lwowski zaraz umaczał swe palce w tej sprawie i jakby się dziura w niebie zrobiła, kazał aresztować Bogu ducha winnych młodzieńców. Co więcej, zaaresztowawszy ich, zamknął bramę więzienia i pozwolił nieszczęśliwym ofiarom zaledwie na wiece, towarzyskie zebrania, na wizyty „sióstr“ (po Adamie i Ewie) i na huczne bankieciki. Poza tem wolność więźniów była niesłychanie ograniczona: nie wolno im było chodzić do Szkowrona albo innego jadłodajnika, do teatru i na koncerty, na bale, do koloseum itd. Najwięcej zaś oburzającym był fakt, że pozbawienie wolności tych dzielnych mołojców nastąpiło w same prawie ostatki, to jest w chwili kiedy konstytucye całego świata zapewniają obywatelom prawo szerokiej zabawy.

Więc też najszlachetniejszy organ europejski (każdy się domyśli, że mowa tu o „Neue freie Presse“) zawył z bólu i rozpaczy nad ofiarami polskiego barbarzyństwa. To wycie usłyszały sfery, które nigdy (gdzieżby!) nie wywierają presyi na wymiar sprawiedliwości i — rozkazały wypuścić natychmiast nieszczęśliwych męczenników. Sprawiedliwość zwyciężyła nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni. Męczennikom sprawiono huczne owacye, prowadzono ich w pochodzie tryumfalnym, niesiono przed nimi wieńce laurowe. Sądzimy, że się na tem nie skończy, że ich czekają jeszcze nagrody honorowe w postaci tytułów i orderów. I zagranica nie pozostanie w tyle. W sferach decydujących Berlina mówią coś o dwu złotych siekierach i dwu złotych pałkach honorowych.

Jaki będzie dalszy przebieg tego znęcania się Polaków nad narodem ruskim, przewidzieć trudno. X. metropolita Szeptycki, syn, wnuk i prawnuk Polaków i Polek, udał się do Wiednia, aby prosić o zatuszowanie całej sprawy i o stypendya dla szlachetnych bohaterów. Ten Polak nam się rzeczywiście udał. Mniej udali się namiestnik hr. Potocki i minister hr. Dzieduszycki, którzy podobno mieli zażądać dymisyi. Czy to prawda, nie wiem, ale „relata refero“, choć nieco powątpiewam w ścisłość tej wiadomości. Nawet jakiś Odważnicki, który tylko wyjątkowo stchórzył przed Wiedniem, zagroził podobno ustąpieniem ze swego stanowiska. Wszystko to być może i byłbym za tem, aby wiedeńscy opiekunowie Rusinów skorzystali z tej sposobności i wynagrodzili naród ruski za wiekowe krzywdy cierpiane od Polaków. Proponuję p. Romańczuka na namiestnika, p. Oleśnickiego na marszałka (o ile hr. Badeni nie zechce przejść na łono kościoła grecko katolickiego i odnaleść w sobie krew ruską), p. Bazylego Jaworskiego na kardynała po ks. biskupie Puzynie, a p. Iwana Frankę na prezesa krakowskiej Akademji Umiejętności...

Wogóle razby należało, a dobrze, wziąć się do tych Polaków. Tego zdania jest nietylko „Neue freie Presse“ ale i całe prawie bratnie dziennikarstwo czeskie. Jeżeli kto, to ono daje takie dowody miłości Polaków, że mam niejako obawę, iż tym Polakom otworzą się oczy i raz powiedzą sobie: dość naszego wysługiwania się tym braciom słowiańskim.

Ale najskuteczniej niebezpieczeństwu polskiemu chce zaradzić ks. Bülow. Projekt wywłaszczania Polaków ma być przedstawiony sejmowi pruskiemu. Tylko niestety w obronie Polaków mają stanąć agraryusze niemieccy. Hakatyści ci mają do tego dwa powody: po pierwsze z wywłaszczeniem Polaków ubyłaby im sposobność ćwiczenia się w patryotyźmie, a powtóre obawiają się obniżenia wysokich cen ziemi — dyabli im po „moralnem“ i narodowem zwycięstwie, jeżeli mieliby ponieść straty materyalne. Gdyby bowiem komisya kolonizacyjna miała prawo wywłaszczać i taksować majątki polskie, cena ziemi w Poznańskiem spadłaby znacznie, na czemby stracili właściciele niemieccy. Więc też podobno gotują się już do roli obrońców konstytucyi, szykują frazesy o „wtargnięciu w prawo posiadania“ i o wynikających stąd niebezpieczeństwach dla idei konstytucyjnej w Niemczech. Natomiast życzliwie ten projekt powitaliby socyaliści, gdyż ich teorya wywłaszczania własności prywatnej na rzecz państwa odniosłaby pierwszy tryumf, za którym poszłyby inne. Dla illustracyi tego projektu rządowego warto sobie przypomnieć, jakie niebezpieczeństwo dla całego świata upatrywał rząd niemiecki w projektach agrarnych pierwszej Dumy rosyjskiej.

A Duma ta w chwili, kiedy wyjdą „Nowości“, zbierze się na nowo, wprawdzie w odmiennym „składzie osób“, ale bardzo podobna do pierwszej pod względem „składu ducha“ większości. Większość ta albowiem będzie opozycyjna, antirządowa. Ale choć treść pozostanie ta sama, forma jednak może uledz zmianie i na tem polegają wszelkie nadzieje, że Duma ta ze szkoły oratorskiej zamieni się na szkołę praktycznego przeprowadzania zasad konstytucyjnych. Wszystkie oczy są zwrócone na „kadetów“, który wprawdzie weszli w mniejszej liczbie, ale zawsze stanowią jądro Dumy, jej balans między skrajnemi teoryami lewicy i wstecznemi dążeniami prawicy. Podobno kadeci zmądrzeli (oby to była prawda!), przestali bawić się w utopie i doszli do przekonania, że język jest bardzo pożytecznem narzędziem, ale jeżeli słucha głowy i pracuje nie dla popisu, lecz dla pożytku. Prócz tego zmniejszenie się liczby kadetów miało podziałać na nich otrzeźwiająco, przytrzeć nieco rogów ich zarozumiałości. Ta melioracya głów kadeckich może nam wyjść na dobre, bo im własny interes nakaże liczyć się z polską delegacyą i nabyć jej głosy za cenę poparcia naszych dążeń autonomicznych.

A propos ceny dowiedzieliśmy się (jeżeli to nie bajka), jaką realną wartość posiada Królestwo Polskie dla Niemców. Ktoś zdradził tajemnicę, że rząd miłości Bożej ofiarowywał rządowi rosyjskiemu 7,000.000,000 marek za odstąpienie Królestwa. Oszacowanie to, na pozór dość spore, w rzeczywistości jednak wcale niskie. Jedna „dusza“ przypadałaby za 600 marek. Sądzą, że na drodze dobrowolnej licytacyi możnaby uzyskać znacznie więcej — sami miliarderzy amerykańscy podbiliby tę cenę wysoko. W każdym razie propozycya Niemców (jeżeli jest prawdziwa) dowodzi, że cofamy się do wieków średnich, kiedy to kraje stanowiły wiano królewien, lub szły w zastaw za pożyczone pieniądze.

Ciekawa rzecz, coby też dano i czyby wogóle co dano za Galicyę? A wartość jej przecie w ostatnich czasach podskoczyła. Sami bohaterzy rusińscy warci jeżeli nie miliard, to przynajmniej 100 koron. Takich ludzi czynu nie znajdzie się na zawołanie. Poza tem wciąż z dnia na dzień rodzą się nowe wielkości. Dowód w samych kandydatach na posłów do parlamentu. Największy optymista nie przypuszczałby, że mamy tylu ludzi wybitnych, zasłużonych, mądrych, mających świetnie kraj reprezentować. Zdawałoby się, że trudno znaleść ludzi zupełnie odpowiednich, a tu (proszę tylko czytać listy kandydatów) mamy ich całe setki. A wszystko to ludzie skromni, w ciszy pracujący. Jeszcze wczoraj nie wiedziałeś obywatelu, że tacy panowie istnieją, a dziś wiesz, że nietylko istnieją, ale posiadają wszelkie kwalifikacye na prawodawców, obrońców interesów narodowych. Bo gdyby ich nie posiadali, czyżby stronnictwo śmiało występować z ich kandydaturami?

Jedno tylko nieszczęście, a mianowicie, że kobiety nie mają prawa wyboru i wybieralności. Jest to wielka niegrzeczność ze strony mężczyzn. Co gorsza, że nie sama tylko Austrya jest pod tym względem zacofaną. We Włoszech np. również nie cieszą się powodzeniem starania kobiet o prawo głosowania. Deputacyi ich posłowie włoscy odpowiedzieli, że w zasadzie nie mają nic przeciw zrównaniu obu płci w prawach wyborczych, ale potrzeba na to jeszcze czasu, potrzeba poczekać aż kobiety będą „zupełnie uświadomione i dojrzałe“. Jest to po prostu wykręt, bo nie wiadomo, o jakie idzie uświadomienie i jaką to ma być owa dojrzałość? Powiadają, że jeden z włoskich mężów stanu zgodził się popierać żądania kobiet, ale pod warunkiem, że każda otrzyma prawo głosu po ukończonych latach trzydziestu. Pomysł takiego załatwienia sprawy wywołał ogromne oburzenie — delegatki bowiem uznały, że równa się on zupełnemu niedopuszczeniu kobiet do praw obywatelskich. Trzydziestu lat nie może przekroczyć żadna szanująca się kobieta!

Może te poglądy zmienią się za sprawą koedukacyi. W Warszawie otrzymała już jakaś przełożona pensyi prawo otwarcia klas wspólnych dla chłopców i dziewcząt. Co się z tego urodzi, nie wiadomo, ale że się urodzi, to nie ulega wątpliwości. Ta wspólna edukacya ma jednak jedną wadę (sto innych na razie pomijam). Oto koledzy i koleżanki będą w równym wieku, a więc trudno będzie ukryć latka spóźnionej kandydatce do stanu małżeńskiego, bo koledzy się wygadają. Ale ta trudność ukrycia lat spowoduje może, że kobiety zgodzą się z losem, bohatersko przyznawać się będą do lat swoich, co właśnie wpłynie dobroczynnie na ich udział w wyborach, jeżeli do nich dopuszczone zostaną.

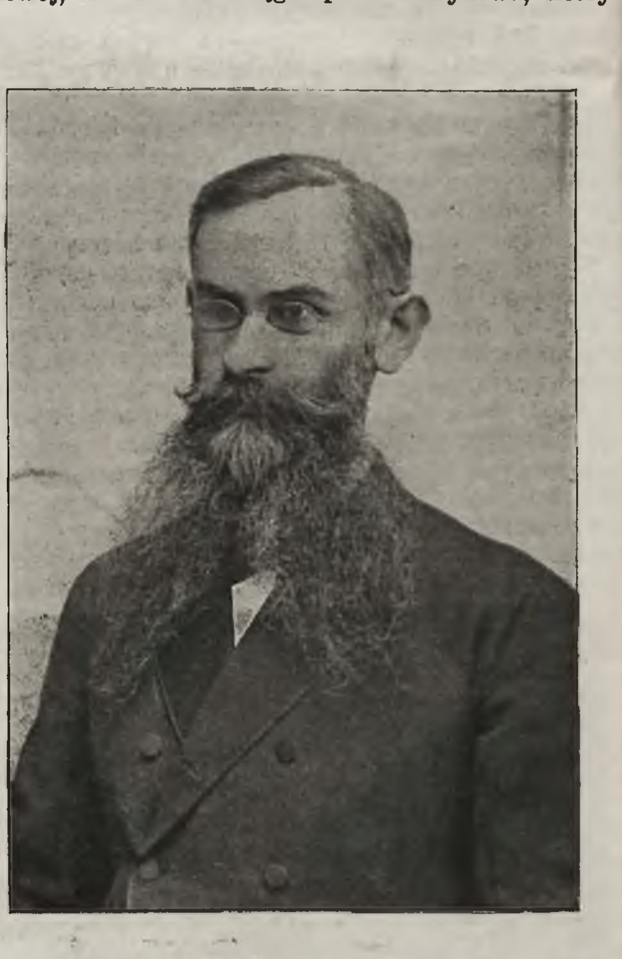
Ale gdzie tu myśleć o jakichś tam prawach kobiecych, kiedy około 20 marca r. b., jak zapowiedział astronom Mateucci, kometa machnie o ziemię ogonem i nastąpi koniec świata. Tak przynajmniej doniosły różne pisma zagraniczne i taką miłą niespodziankę zapowiedział „Kuryer Warszawski“. Na szczęście okazało się, że wprawdzie astronom Mateucci istnieje i jest nawet dyrektorem obserwatoryum na Wezuwiuszu, ale zeznał pod słowem, iż nigdy podobnej baśni w świat nie puszczał.

A więc: w górę serca! — nie przepadną nam majowe wybory!

Zamach na prof. Dawydowa.

W poniedziałek przed godz. 9 rano na Nowym Świecie w Warszawie spełniono nowy zamach polityczny, którego ofiara jednak wyszła bez szwanku. W bramie domu nr. 15, gdy profesor uniwersytetu Dymitryj Dawydow, były redaktor „Warszawskiego Wiestnika“, wchodził na schody, podbiegło do niego nagle dwóch młodzieńców, którzy strzelili trzykrotnie, poczem zbiegli.

Wszystkie kule uwięzły w ścianie klatki schodowej, żadna nie dosięgła prof. Dawydowa, który czemprędzej zadzwonił do drzwi swego mieszkania.

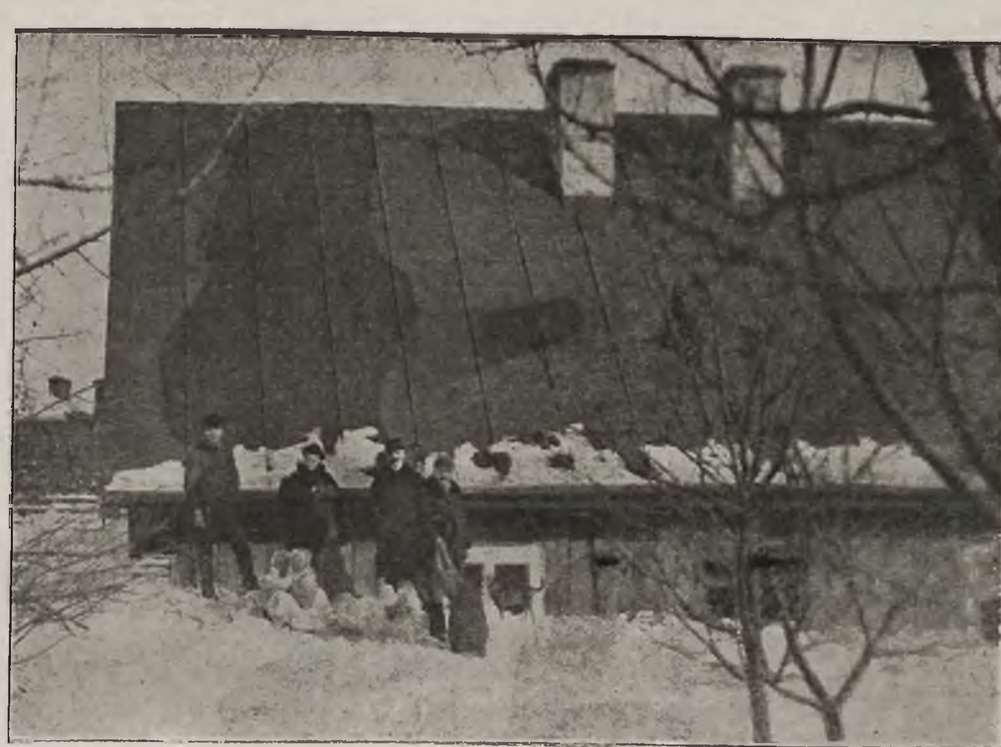


Zamach na prof. Dawydowa: B. redaktor »Warszawskiego Wiestnika«, prof. Dymitryj Dawydow.

Kiedy na odgłos strzałów wybiegł ze swej izby stróż domu, już nikogo ze sprawców nie było. Na schodach znaleziono dwie puste gilzy i jedną kulę browningową. Na miejsce wypadku przybył wkrótce komisarz X cyrkułu z agentami policyi, lecz przedsięwzięte poszukiwania nie wykryły sprawców zamachu.

Niesłychana zaspa śnieżna.

Niedawno temu rozpisywały się dzienniki o niesłychanych zaspach śnieżnych w różnych krajach. Między innemi ucierpiała wtedy bardzo również Galicya, gdzie w szczególności w okolicach Dukli i Krosna zamiecie przybrały rozmiary istotnie nadzwyczajne. Korespondenci z Dukli donosili zwłaszcza o nieprawdopodobnych zaspach, jakie nawiedziły przedmieście Łąki. Fotografie amatorskie jednakże utrwaliły ten fenomenalny epizod srogiej zimy tegorocznej. Zamieszczamy właśnie w niniejszym numerze trzy ryciny, które w przybliżeniu dają pojęcie o tem, co za klęska spadła wówczas na ludność tamtejszą. Są to fotografie zdjęte przez dra Pągowskiego, adjunkta sądowego w Dukli. Na jednej rycinie widzimy tedy całą grupę domów na przedmieściu Łąki, zasypanych zupełnie śniegiem. Druga przedstawia inną znów grupę domów na tem samem przedmieściu w chwili, gdy ludzie pracują nad odkopywaniem mieszkań ludzkich z pod śniegu. Widzimy tu dom zawiany powyżej dachu, po komin i tylko parę otworów w formie tunelu daje nieco światła do mieszkań. Zaspa dosięgała 4 metrów wysokości. Obok widocznego płotu w miejscu, gdzie stoi kobieta, nie widać np. wcale z pod śniegu latarni miejskiej, stojącej w tym punkcie. Mieszkający w tym domu krawiec musiał przez tydzień po całych dniach świecić lampy, gdyż okna były zupełnie zasypane grubą warstwą, a żywność podawano do drzwi małym otworem przebitym w zaspie śnieżnej. W samem mieście Dukli klęska nie przybrała tak fatalnych rozmiarów, ale niemniej dała się porządnie we znaki. Na trzeciej rycinie np. widzimy dom, w którym mieszka dr. Pągowski; parter tu jest wysoki, a jednak dom zawiany został do wysokości połowy okien.



Niesłychana zaspa śnieżna: Zawiany śniegiem dom w Dukli.



Niesłychana zaspa śnieżna: Grupa zasypanych śniegiem domów na Łąkach, przedmieściu Dukli.

Nowy Sejm Rzeszy niemieckiej.

(Do portretu na str. 3).

Otwarły się już w Berlinie, przy placu Królewskim, podwoje gmachu, gdzie obraduje Sejm Rzeszy niemieckiej, rozwiązany i wybrany wśród niezwykłych okoliczności. Rząd z widomą swą głową, „jedwabnym" księciem kanclerzem Bülowem tryumfuje, ciesząc się, wedle własnej opinii, zwycięstwem na całej linii. Czy tu radość nie jest przedwczesna, przekonamy się wkrótce, bo sztuczna większość rządowa, składająca się z konserwatystów narodowo-liberalnych i wolnomyślnych, zbyt długo nie da się utrzymać. Z jednej strony żywioły antirządowe straciły dużo przy ostatnich wyborach (socyalni demokraci) — z drugiej jednak zyskały (Polacy).

W każdym jednak razie nie da się zaprzeczyć, że obudzenie się ducha szowinistycznego w Niemczech będzie stanowiło podporę na czas pewien obecnego systemu rządów niemieckiej Rzeszy, w których tak wybitny osobisty udział bierze cesarz — mowca, podróżnik, poeta, generał, admirał i t. d.

Względnie pomyślny wynik ostatnich wyborów odnośnie do reprezentacyi polskiej w Sejmie Rzeszy, stanowi niezawodnie przykry dysonans dla cesarza Niemiec i jego wiernego sługi, kanclerza Bülowa. Chociaż bowiem punkt ciężkości polityki antipolskiej spoczywa nie w Sejmie Rzeszy, lecz w Sejmie pruskim — to jednak silniejsze stanowisko Polaków w pierwszem z tych ciał parlamentarnych nie może pozostać bez wpływu na drugie.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy podobiznę nowego prezydenta Sejmu Rzeszy, hr. Udo Stolberg-Wernigerode. Co za ogromne zmiany w porównaniu z ostatnią sesyą Sejmu Rzeszy! Poprzednio na jego krześle prezydyalnem zasiadał hr. Ballestrem, katolik i centrowiec. — Teraz kieruje jego obradami czysto pruski „junkier", no i rozumie się protestant, Prusak z krwi i kości, rzeczywisty tajny radca, generał major á la suite etc., etc. Liczy on obecnie lat 67, a rozpoczął swą karyerę jako oficer w wojsku pruskiem. Następnie przeniósł się do służby cywilnej, w której pełnił obowiązki naprzód landrata, a później starszego prezydenta Prus wschodnich; od roku zaś 1895 jest posłem do Sejmu Rzeszy ze wschodnio-pruskiego okręgu Olesko-Ełk-Jamberg. Czy taki „junkier" może bezstronnie przewodniczyć obradom, w których biorą udział ludzie tak dyametralnie przeciwnych przekonań, jak, dajmy na to, socyaliści lub Polacy i konserwatyści?..... Odpowiedź na to pytanie może sobie dać każdy z Czytelników. Już sam fakt odsunięcia od udziału w prezydyum najsilniejszej partyi w Sejmie, t. j. centrum, rzuca jaskrawe światło na taktykę obecnej jego większości. To ciało parlamentarne niezawodnie i nadal będzie powolnem narzędziem w rękach rządu, który z iście pruską perfidyą zwykł pokrywać gwałty i nadużycia płaszczykiem legalności.

Tragedya w karczmie.

(Do illustracyi na stronie 4.)

Wstrząsająca tragedya rozegrała się w tych dniach w Radomyślu nad Sanem. Oto okoliczności, wśród których popełniono tam ohydną zbrodnię: Z początkiem stycznia przybył do Radomyśla po kilkunastoletnim pobycie w Królestwie Polskiem, wyrobnik Tomasz Borowiak, 59 lat liczący, rodem ze Zbydniowa. Trudnił się rąbaniem drzewa u mieszczan radomyskich, na nocleg zaś przychodził stale do karczmy Mojżesza Goldberga, gdzie sypiał w izbie szynkowej. Przed tygodniem, gdy cała rodzina karczmarza pogrążona była we śnie, Borowiak wstał o pierwszej w nocy i wziąwszy siekierę w rękę, poszedł do drugiej izby, gdzie spał 20-letni syn Goldbergów oraz ich zamężna corka. Zbrodniarz ugodził w głowę siekierą młodzieńca, lecz ten zdobył się jeszcze na tyle siły, że wyskoczył z łóżka i zaczął uciekać Wpadł do pierwszej izby, gdzie spali rodzice, lecz Borowiak dogonił go i zadał kilka nowych ciosów w głowę tym razem już śmiertelnych, od których ofiara na miejscu wyzionęła ducha. Starzy Goldbergowie nic jeszcze nie słyszeli, śpiac twardo. Zbrodniarz podszedł do nich z siekierą i rozpoczął prawdziwą siekaninę. Goldbergowej zadał 4 cięcia w lewą skroń i czaszkę, że po



Niesłychana zaspa śnieżna: Powyżej dachów zawiane śniegiem domy na Łąkach, przedmieściu Dukli.

paru godzinach męczarni życie zakończyła. Natomiast stary Goldberg jeszcze żyje, mimo, że otrzymał trzy cięcia w skroń i w głowę, lecz jego stan jest bardzo ciężki. W chwili gdy Borowiak mordował rodziców, rozbudziła się w sąsiedniej izbie córka karczmarza i tylnemi drzwiami wypadłszy z domu, schroniła się w ustępie, toteż zbrodniarz mimo poszukiwań już jej nie znalazł. Ona to po odejściu mordercy, który zabrał z karczmy wszelkie pieniądze w małej zresztą sumie 96 koron, dała znać o wszystkiem żandarmeryi. Komendant posterunku wysłał trzech swoich podwładnych podwodami ku granicy, gdzie też w Łązku po kilku godzinach przyłapano Borowiaka i odstawiono do więzienia sądowego w Rozwadowie.

Panama „atletyczna“.

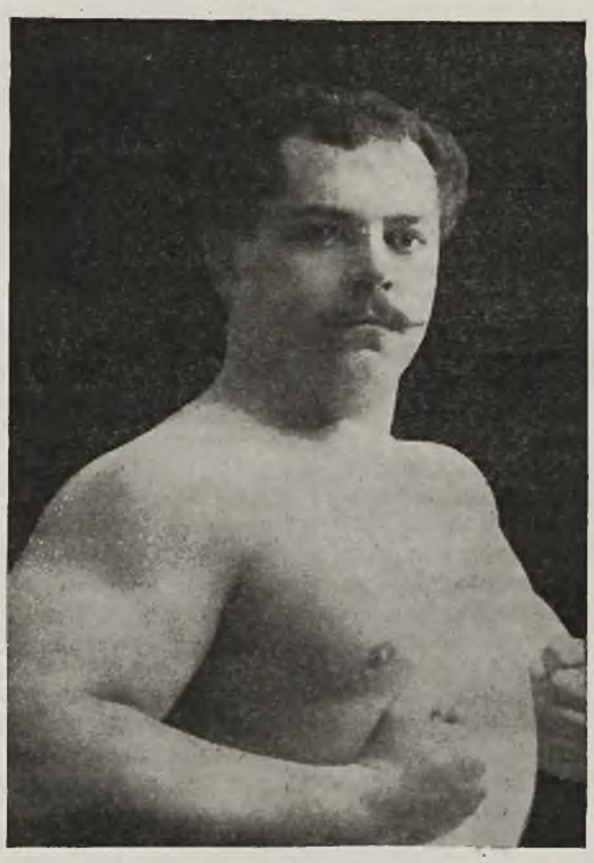
Zagotowało się w warszawskim światku sportowym. Powód dały do tego walki w cyrku miejscowym, które, jak i w roku zeszłym codziennie zapełniały cyrk po brzegi.



Panama »atletyczna« w Warszawie: Pytlasiński.

Tymczasem w tych dniach na szpaltach jednego z wydawnictw warszawskich, ukazały się obszerne i drobiazgowe rewelacye w sprawie t. zw. „zapasów w cyrku“, rzucające ciekawe światło na „turniej siłaczy w walce francuskiej“. Echa tych rewelacyi, których autorem jest p. Mikołaj Weltsmann, dyrektor i właściciel varietè „Alexandrine“, odbiły się także na szpaltach „Kuryera Warszawskiego“, który utrzymuje, że zarówno zeszłoroczny, jak tegoroczny turniej siłaczów jest zwykłą spekulacyą grona aferzystów, nie mającą nic wspólnego z atletyką prawdziwą.

W niedzielę ubiegłą niedyskrecya jednego z siłaczów uchyliła rąbek zasłony ukrytego mechanizmu tych sensacyj cyrkowych. Oto wystąpił atleta Schwartzer i oświadczył publicznie, po dłuższej w tonie zirytowanym prowadzonej rozmowie z przedsiębiorcą Lebiediewem, że pragnie natychmiast walczyć z Fryszteńskim, bo wobec ekspiracyi kontraktu nie ma nadziei, aby później był dopuszczony do walki z czeskim siłaczem. Co to jest? Skoro ogłoszono konkurs, więc każdy zaliczony do turnieju zapaśnik, ma chyba prawo i obowiązek walczyć z wszystkimi rywalami. Mowy tu być nie powinno o kontraktach terminowych, a skoro kontrakty takie są zawierane, więc cały konkurs jest prostem szalbierstwem.



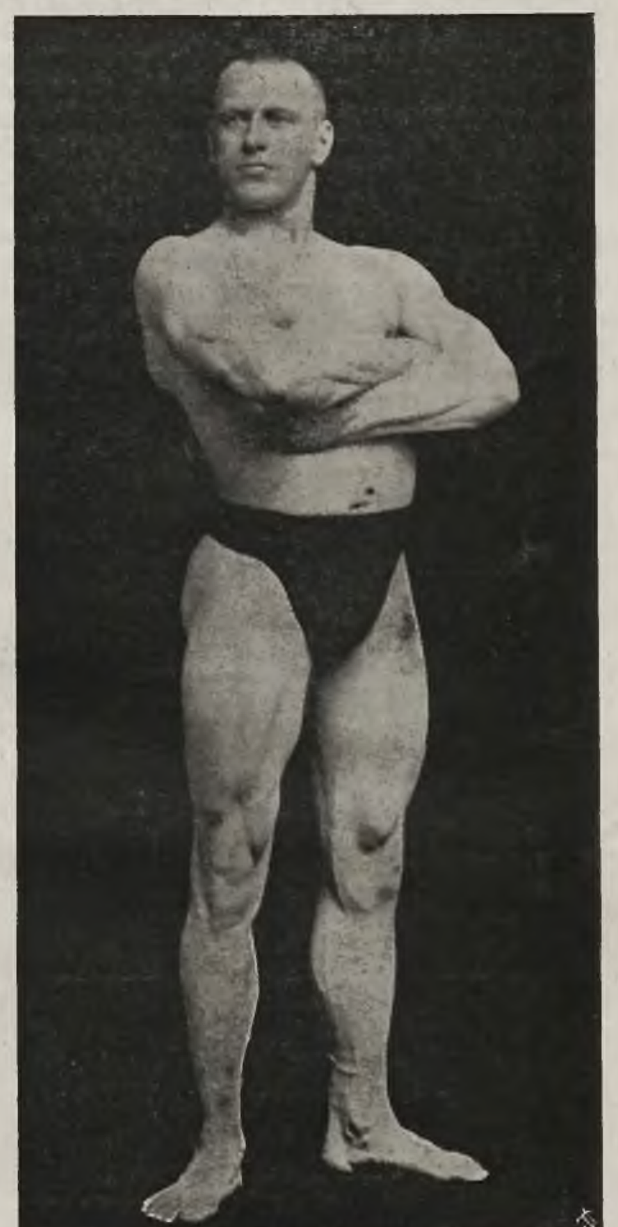
Panama »atletyczna« w Warszawie: Lebiediew.

Pan Weltsman oświadcza wyraźnie, że Europa cała podzielona została na okręgi, a w każdym z nich operują stale ci sami atleci-przedsiębiorcy, mający swoje własne trupy, złożone z atletów płatnych miesięcznie, dziennie i od występu. W Rosji i Austryi operują obecnie prawie że bez konkurencyi Lurich i Aberg, do których przyłączył się także i Zbyszko-Cyganiewicz, mający do pomocy managerów w osobach Lebiedewa, Andruszkiewicza i Szpechta; w Niemczech: Eberle, Van der Berg, Abst II. itd.; we Francyi: Dumon, Sabatier, Pons, Petrow itd. Wszyscy ci panowie są bardzo solidarni, gdy chodzi o rygor i karność podwładnych, a pierwszym warunkiem kontraktu jest, że nie wolno im zwalczyć „dyrektora“, (tak bowiem nazywają atleci Niemcy owych przedsiębiorców, jak Lurich, Aberg i inni; Francuzi zaś nazywają ich „maitre'ami“).

Wobec tego zrozumie publiczność bardzo łatwo, jaką wartość mieć mogą wszelkie turnieje zapaśnicze, zrozumiałem też również być musi zachowanie się kuglarsko ryzykowne takiego Lauricha np. w piątek dn. 8 b. m. w walce z Rissbacherem. Mógł on pozwolić sobie na leżenie na jednej łopatce, gdyż podwładnemu atlecie nie wolno przygnieść go jako „dyrektora“, aż do wyniku „walki...“

Dalej oświadcza p. Weltsman, że wszystkie zapasy są prowadzone podług z góry ułożonego programu i gwarantuje że obecnie w cyrku Zbyszko otrzyma I. nagrodę, Pytlasiński II., Fryszteński III., Murzuk IV., Strenger V., a Lurich się wycofa. Zbyszko, jako „dyrektor“ i Polak w dodatku, musi być głównym zwycięzcą w Warszawie, Pytlasiński zaś i Fryszteński, jako ulubieńcy publiczności, muszą otrzymać drugą i trzecią nagrodę. W innem mieście oczywiście zwycięży Lurich, Zbyszko się wycofa, a drugą nagrodę weźmie znowu jaki faworyt miejscowy, w Berlinie Niemiec, we Francyi Francuz itd.

Pan Weltsman oświadcza, że jeżeli w ułożonej przez niego liście „zwycięzców“ zarząd cyrkowy coś zmieni, to chyba dlatego, aby osłabić jego wywody. Twierdzi on dalej, że w Budapeszcie Zbyszko położył się dla interesu pod Lurichem, faworytem Węgrów, a my dodamy, że w roku ubiegłym położył się w Krakowie Lurich pod Zbyszkiem, faworytem Polaków. Oczywiście przy każdej takiej porażce zwyciężony głośno protestuje i żąda rewanżu. Wszystko dla zamydlenia oczu publiczności.



Panama »atletyczna« w Warszawie: Jerzy Lurich.

Zapasy takie — mówi p. Weltsman — nie mają prawa nosić miana „walk“, lecz są najzwyczajniejszymi, mniej lub więcej kuglarskiemi popisami atletycznemi. Na potwierdzenie powyższych poglądów przytoczyć można wyrzeczone przez prof. atletyki, p. Jul. Michaux, w sobotę dn. 9 b. m. na tomboli wyrazy: „że już ma po uszy tych szachrajstw“.

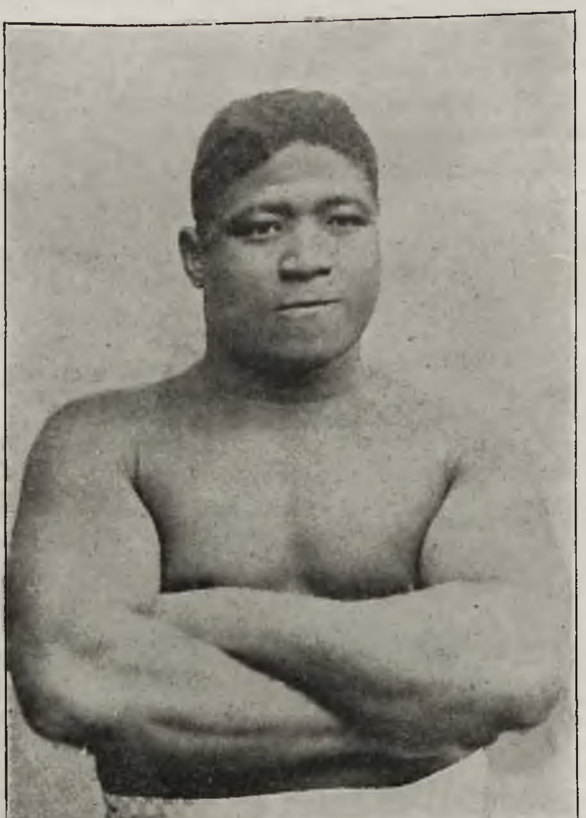
W kwestyi zapasów u nas za zdanie miarodajne uważać można to, jakie o nich w chwili szczerości wygłosił wielki znawca i poważny sportowiec, sędzia turnieju w cyrku, p. Karol Ziffer: „Czas już skończyć z tą blagą! Ja wiedziałem od Lebiediewa z góry, będąc sędzią w zeszłorocznym turnieju w cyrku, o rezultacie każdej walki, i to w ile sekund i jakim rzutem będzie zakończona“.

Według rewelacyi p. Weltsmana, atleta, któryby złamał solidarność, ulega bojkotowi wszystkich przedsiębiorców, związanych w quasi-syndykat. I tak n. p. znany w Warszawie zapaśnik Constant le Marin, który przypadkiem powalił przed 3 laty w Moskwie Lauricha, wbrew warunkom swo-



Panama »atletyczna« w Warszawie: Fryszteński.

jego kontraktu, nie mógł nigdzie dostać engagement i prosić musiał Luricha o przebaczenie. Dzięki tej solidarności, przedsiębiorcy są panami sytuacji, uchodzą za najlepszych siłaczów i posiadają kosztem wyzyskiwanych atletów majątki poważne. Zbyszko, Aberg, Lurich zarobili już po 100 000 rubli. Dwaj pierwsi pracują obecnie w Bukareszcie, trzeci operuje w Warszawie. Zbyszko jednak dopuszczony jest także w cyrku warszawskim do jednej trzeciej zysków za to, że gdy przed



Panama »atletyczna« w Warszawie: Murzuk, murzyn z Marokka.

kilku miesiącami nie należący do syndykatu przedsiębiorca chciał urządzić w ogrodzie Saskim walki atletów i zaangażował w tym celu Zbyszka, ten najpierw obiecał, potem zerwał umowę i przyczynił się w ten sposób niemal decydujący, do rozchwiania się całego turnieju.

Na turniej ten konkurencyjny zresztą większość angażowanych atletów ze strachu przed syndykatem, albo wcale nie przybyła, albo przyjechała nie w porę, zmuszając do ustawicznych odwoływań widowisk i zwrotu pieniędzy za bilety.

Nadmieniamy zresztą, że jeden z najwybitniejszych atletów, występujących obecnie w cyrku naszym, ogłosił przed trzema laty w prasie niemieckiej bardzo kompromitujące dla wszystkich zapasów cyrkowych wyznania. Nadmieniamy dalej, że przeciw Lurichowi występowały swojego czasu w sposób niezmiernie energiczny pisma berlińskie, którym „niezwyciężony (ach!) atleta“ wytoczył wprawdzie procesy o potwarz, ale narobiwszy dużo hałasu, wycofał się z nich dyskretnie, nie dopuściwszy do wyroków.

Ktokolwiek ma choć jakie takie pojęcie o atletyce, na tego walki warszawskie wprost przykre wywierają wrażenie. Wszystko jest robione na efekt, dla galeryi, a ruchy i obroty atletów mają taki charakter, że wystarczy odrobina krytycyzmu, aby odgadnąć symulacye. Najnielegalniejsze piruety są na porządku dziennym, bo one właśnie budzą podziw łatwowiernej publiczności, która nie chce zrozumieć, że zapaśnik walczący uczciwie strzedz się będzie, jak ognia, wszelkiego efekciarstwa.

Dość powiedzieć, że gdy przed kilku laty urządzono w Berlinie pod protektoratem jakiegoś księcia pruskiego wielkie zapasy atletów i przeznaczywszy bardzo wysokie nagrody, zwabiono najlepsze siły z całej Europy, publiczność zrazu interesowała się bardzo widowiskiem prawdziwie sportowem i pozbawionem cienia szalbierstwa. Niebawem jednak przestała zupełnie uczęszczać do cyrku, bo walka prawdziwa była monotonna i nudna. Nie miała efektów jaskrawych i nie bawiła tłumów.

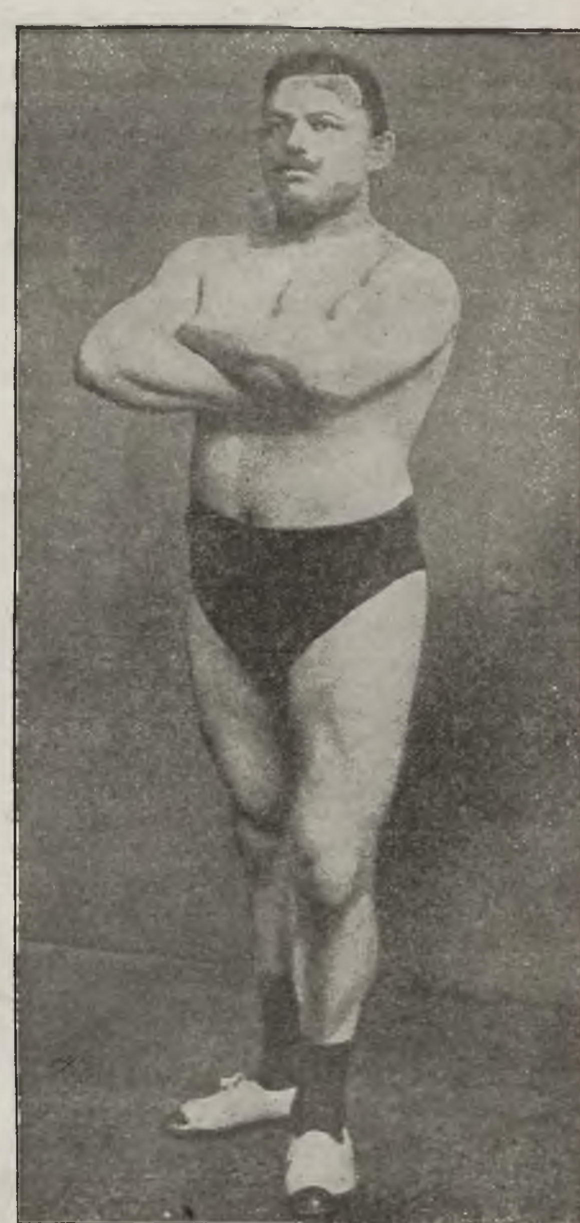
O tem wiedzą doskonale spekulanci cyrkowi i dlatego zamiast walk dają różne ryzykowne koziołki. Mogą sobie na nie pozwolić, bo przecież z góry wiadomo, że nikt ich powalić nie może wbrew woli dyrektora.

Wobec tego czas byłby najwyższy, aby publiczność nareszcie zrozumiała, co to są nasze walki cyrkowe i czy w takich warunkach godzi się napychać kieszenie przedsiębiorców, łudzących ją blagierskimi pozorami kursu i sportu atletycznego. Jeżeli zaś to wszystko, co p. Weltsman w Warszawie, a przed nim już wielu innych wyjawiło za granicą, jest fikcyą, to dziwną rzeczą jest co najmniej milczenie pana Liebiediewa.

* * *

O aferze mówiono od samego początku turnieju. Czarę jednak przepełniło zwycięstwo murzyna Murzuka (z Marokka) nad Pytlasińskim.

Oto świadomi twierdzą, że Pytlasiński dał się zwyciężyć, otrzymawszy od głównego przedsiębiorcy, Lebiediewa, poważne za to honoraryum, które



Panama »atletyczna« w Warszawie: Strenger.

Lebiediew zamierza dziesięćkroć pokryć podczas walki „rewanżowej“ Pytlasińskiego z Murzukiem, w której oczywiście Pytlasiński zwycięży, a następnie walki rozstrzygającej tejże pary.

ZŁAMANA SPINKA.

Powieść na tle aktów sądowych

10. przełożył z włoskiego W. Ż. K.

Pietro zbliżył się do niego, uspokoił, wytłomaczył. Człeczyna ziewnął, zaklął, że mu sen przerwano; przetarł oczy i zaczął dźwigać się z ławy.

— Już w drogę? — zapytał Pietro.

— A, no to i czas — odpowiedział człeczyna w webowej koszuli.

— Ot, co tam, może napijecie się ze mną. Nie mam do kogo popić; wrócicie jeszcze na czas.

— Hm, hm, — zamruczał człeczyna i spojrzał na Pietra podejrzliwie. Snać Pietro mu się spodobał, bo siadł przy nim u stołu i rzekł od niechcenia:

— Ze dwa łyki, nie więcej.

Zaczęła się gawęda i o tem i owem, Pietro umiał zagadać ciekawie, ciekawie opowiedzieć nie jedno, człeczyna słuchał, a i rozgadał się i nie dwa łyki, ale ze dwadzieścia ich w gardło przechylił. Już tak sobie gadali jakby starzy znajomi.

— Musicie mieć albo żonę bardzo dobrą, albo narzeczoną, że macie taką piękną koszulę. Fiu! fiu! Co to za hafty. Żona wasza to hafciarka, co?

— Ej, co tam, głupstwo, ot szmata — mruczał człeczyna, chcąc zwrócić rozmowę na inny przedmiot. Ale Pietro tak zabiegał, tak się upierał, że wreszcie gruby człeczyna rzekł niecierpliwie:

— A toście tacy ciekawi jak baba. Żebyście nie myśleli, żem to może ukradł, to wam już powiem do dyabła. — To rzekłszy rozpiął kamizelkę, a Pietro dostrzegł na listewce koszuli pod gorsem monogram: „C. v. P.“ z koroną baronowską. Oczywiście, że się w nim ciekawość zdwoiła i dolał wina człeczynie i schlebiał i dogadywał mu, a właściciel baronowskiej koszuli rozgadał się na dobre i gadał, a gadał:

— Jakoś temu trzy tygodnie, wracałem rano z portu ku domowi. Idę przez via Canaletto, aż tu jakiś pan, ale to pan, powiadam, niesie zawiniątko. Myślałem, że czeka kogo, by za nim zaniósł, więc podchodzę i proszę, by mi dał odnieść. On zatrzymał się, spojrzał na mnie, coś pomyślał, dał mi to zawiniątko i rzecze: „Weź sobie braciszku tę odrobinę bielizny, ona mi już nie potrzebna“. Myślałem, że to waryat. No i dziś jeszcze myślę, że to był waryat. Darować na ulicy tyle bielizny, takiej drogiej. Waryat. Ale cóż mi do tego? dał, to i wziąłem. Schowałem sobie tylko dwie koszule, a resztę sprzedałem i to za dobre pieniądze.

— Jakże to ten pan wyglądał?

— Piękny pan, okazały. Tylko oczy miał takie jakieś straszne, a niespokojne. Miał na sobie długą ciemną zarzutkę i ciemny kapelusz.

Pietro dowiedział się jeszcze, czem człeczyna się trudni, gdzie mieszka, dolał mu jeszcze wina na pożegnanie, nagadał coś wesołego i wyszli od papy Giulia.

Właściciel pięknej koszuli podążył do domu, a Pietro spieszył do Aleksandrowicza. Już było dość późno, ale agent nie spał i nawet spać jeszcze nie myślał, tak go dręczyło podejrzenie, jakie powziął względem hrabiego Montegretto. Zobaczywszy Pietra, ucieszył się bo wiedział, że nigdy z głupstwem nie przybywa, ale zawsze jakiś ważny szczegół przyniesie. Powitał go też wesoło i uprzejmie. Pietro opowiedział wszystko, powtórzył opowiadanie człeczyny i tryumfująco spoglądał na Aleksandrowicza, jakby chciał się zapytać: „A co? dobrze się spisałem?“

Aleksandrowicz wysłuchał uważnie i milczał, co drażniło Pietro, na pochwałę i uznanie oczekującego. Gdy milczenie wydało mu się za długie, przerwał je nie śmiało:

— No, cóż pan na to? Przecież to wielka rzecz! Panie, to już tyle, co zbója za czuprynę chwycić.

Aleksandrowicz jeszcze się zastanawiał. Pietro niecierpliwił się coraz bardziej, wydało mu się to czarną niewdzięcznością, że nieotrzymał zaraz tysięcznych podziękowań i pochwał.

— Ej, to ja już pójdę, rzekł cokolwiek opryskliwie.

— Czekajno chłopcze — powiedział Aleksandrowicz. — Zwolna, z rozwagą. Albo ten człowiek u Giulia mówił prawdę, a w takim razie byłaby to bielizna zamordowanej ofiary; albo też może i zełgał i bielizna pochodzi z jakiejkolwiek kradzieży. Dowiemy się wszystkiego, a skoro się okaże twoje odkrycie tem, czego się domyślamy, otrzymasz sowitą nagrodę To bardzo możliwe, że morderca wyszedłszy, z hotelu, z zawiniątkiem, chciał się go pozbyć, zapewne wrzucić w morze. Ale że już na ulicach i wybrzeżach ruch się zaczął, ludzie się kręcili, bał się do morza wrzucić by nie ściągnął jakiego podejrzenia na siebie. Może i dlatego ową bielizną biedakowi darował, aby na niego podejrzenie policyi skierować. Będzie nosił drogą bieliznę, to go dopatrzą; będzie ją chciał sprzedać, to go zatrzymają. Zanim sprawa się wyjaśni, upłynie czas jakiś, a z tego morderca skorzysta, ucieknie, ukryje się lepiej. To prawdopodobne. Dziękuję ci Pietro; bądź pewien sowitej nagrody. No, dobranoc chłopcze. A zostaw mi adres owego człowieka.

* * *

Nazajutrz, wczesnym rankiem, sprowadzono do policyi owego człeka. Był to uczciwy robotnik, żyjący z posług przy magazynach nadbrzeżnych; nazywał się Roberto Embali, mieszkał na poddaszu, na via Maddalena. Z największą ścisłością przesłuchano go, zasypywano pytaniami, by wydobyć z niego jakieś zawikłanie, jakąś sprzeczność, ale Roberto spokojnie, jasno powtarzał jedno i to samo.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nowy ambasador.

(Do portretu na stronie 19).

Trzecia Rzeczpospolita francuska bez względu na wewnętrzne sprawy i rozterki, trzyma się w kwestyach polityki zagranicznej tradycyj, jakie jej przekazały rządy poprzednie. Jej przedstawiciele, akredytowani u obcych rządów, należą przeważnie do rodzin albo szlacheckich, albo też urzędniczych z dziada-pradziada.

Do tej drugiej kategoryi należy świeżo mianowany przez prezydenta Rzeczypospolitej ambasador w Berlinie, Juliusz Cambon, dotychczasowy ambasador w Madrycie, a którego brat starszy Paweł, zastępuje Francyę w Londynie.



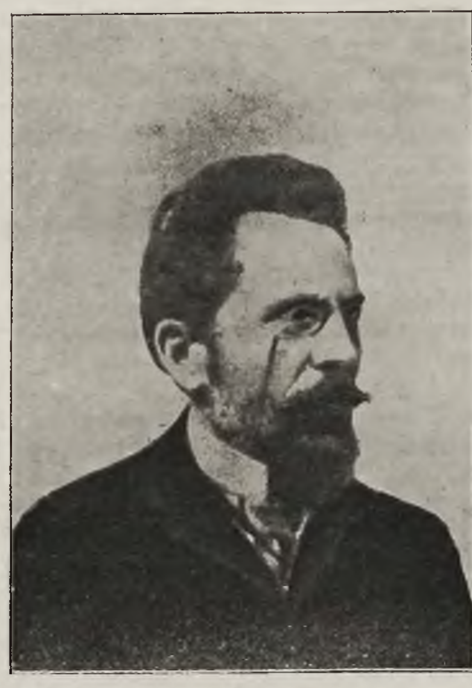
Powieszeni w cytadeli warszawskiej: Bandyta Feliks Pawłowski.

Urodził się on w r. 1845 w Paryżu i rozpoczął swą karyerę jako adwokat. Po wojnie z Niemcami, w której wziął udział jako kapitan gwardyi ruchomej, przeszedł do służby rządowej. W latach 1891—1897 był generał gubernatorem Algieru, później zaś posłem w Waszyngtonie, gdzie gorąco wstawiał się za Hiszpanią, celem otrzymania dla niej lepszych warunków pokoju.

W Madrycie Cambon występował jako przeciwnik polityki niemieckiej wobec kwestyi marokańskiej. Tem dziwniejszem tedy wydaje się jego nominacya na ambasadora w stolicy nad Sprewą.

Echa zgładzenia prowokatora.

W pamięci świeżej naszych Czytelników pozostaje jeszcze głośna a tajemnicza sprawa zgładzenia, przez wysłańców jednej z partyj rewolucyj-



Echa zgładzenia prowokatora: J. Niemirowski

nych w Warszawie, prowokatora Ułanowskiego w chwili, gdy ten usiłował rzekomo na cele partyjne wymusić znaczną sumę pieniężną od dyrektora Sawickiego w Banku Handlowym.

Już wówczas pisząc o okolicznościach, w jakich spełniono morderstwo (którego epizod zillustrowaliśmy, podając też widok gmachu bankowego) wspominano, że został między innymi aresztowany tegoż wieczora zarządca gmachu, gospodarz biur Banku Handlowego, p. Jan Niemirowski, któremu podobno mordercy zakazali dawać znać władzom o wypadku.

Otóż p. Niemirowskiego (którego podobiznę dziś zamieszczamy), po ukończeniu śledztwa pierwiastkowego zatrzymano w więzieniu na rozkaz sędziego śledczego, a to pod zarzutem udziału w zabójstwie bandyty-prowokatora Ułanowskiego.

Dopiero w tych dniach wypuszczony został p. Niemirowski z więzienia śledczego na wolną stopę, lecz za złożeniem kaucyi w wysokości 10.000 rubli.

Powieszeni w cytadeli.

Niedawno w Warszawie kilku bandytów ograbiło po kolei kasy w szeregu składów hurtownych węgla w obrębie stacyi towarowej wiedeńskiej. Jeden ze składników poszedł ich śladem i spostrzegł, że z łupem wstąpili na rogu ul. Wroniej do piwiarni. Dał znać stójkowemu, który zaalarmował cyrkuł policyjny. Zawezwano wojsko, by uniemożliwić bandytom ucieczkę. Przed przybyciem wojska stanął u drzwi policyant z patrolem. Bandyci ujrzawszy go, celnym strzałem położyli go trupem i jęli uciekać ku Chłodnej. Nadciągające wojsko dało strzały za uciekającymi. Dwaj z bandytów zginęli, dwóch zaś aresztowano. Podali się



Powieszeni w cytadeli warszawskiej: Bandyta Stan. Górski.

oni za Pawłowskiego i Górskiego. Stawiono ich przed sąd polowy, który wydał na obu bandytów wyrok śmierci. W tych dniach młodzi ci ludzie zostali powieszeni na stokach cytadeli. Dajemy tu ich podobizny, zdjęte już w więzieniu przed straceniem

Z lwowskiego bruku.

(Wszystko zmienia się na lepsze. — Mamy już kandydatów. — W czem leży trudność polityczna. — Kłopot Rady Narodowej. — Interes z kaloszami. — Czemu dr. Munk nie wychodzi na ulicę? — Dziecinna opera a powód smutku primadonny. — Wypełnienie podpisu.)

Wszystko we Lwowie zmienia się na lepsze. Rusini, którzy przez trzy dni pościli, przyszli już do sił i nawet mogli już stanąć do walki z akademikami polskimi. Rada miasta kończy już uchwalenie budżetu, śnieg przemienił się w przyjemne błoto, policyanci wrócili po dłuższej bezczynności do zwykłych zajęć politycznych, ekscelencya Abrahamowicz cofnął swoją kandydaturę lwowską, a opera lwowska kompletnie zdziecinniała, do czego wyraźnie przyznaje się na afiszach, zapraszając publiczność, aby się sama przyszła przekonać.

Najbardziej pocieszającym jest zaś fakt, że mamy już kandydatów na posłów. Dotąd byłem w ciągłej obawie, że zabraknie nam kandydatów. Nikt nie zgłaszał się, nikt nie miał odwagi powiedzieć otwarcie, że chce być posłem. Teraz posypało się tylu, że na każdy mandat mamy po trzech, czterech lub więcej kandydatów, którzy już oficyalnie zgłosili swoje kandydatury, że kilku innych, którzy się noszą z zamiarem wystąpienia w ostatniej chwili, aby wykorzystać spór innych.

W każdym razie jest już ktoś, kto chce wziąć nasze losy w swoje ręce i reprezentować nasze interesy w wiedeńskim parlamencie. Wobec tego możemy już być spokojni i tylko zbierać skrzętnie materyał palny, aby systematycznie strzelać w stronę kontrkandydatów tak długo, aż ich utrącimy.

Cała trudność, jaka nastręcza się obecnie politykom, leży w rozwiązaniu kwestyi, czy można będzie co zrobić zapomocą pieniędzy, czy nie? Mnie się zdaje, że ten najpewniejszy argument polityczny nie straci przez powszechne wybory nic na swej dawnej potędze i zaprowadzi każdego prosto do celu. Nie da się tylko obliczyć, ile będzie potrzeba wyliczyć na stół. Pod tym względem dawny komitet centralny miał już stałą taryfę, przy czem nie kładło się tamy dobroczynności. Dzisiejsza Rada narodowa, która jest naturalnem dzieckiem i następcą Komitetu centralnego, nie wie jeszcze, jak uregulować tę sprawę i dlatego jest w kłopocie.

Poza tem nie mamy żadnych innych kłopotów i bawimy się w sensacye. Największą z nich jest sensacya „kaloszowa“, czyli dramat bogacza, który chciał być jeszcze bogatszym i wlazł w interes z kaloszami. Dr. Munk był tym, którego w paradny sposób wykiwał rosyjski szubienicznik ze szubienicznym humorem, obrawszy go w kalosze. Schapira miał się nazywać ów rosyjski żydek o sprycie ministra finansów, który obecnie jest bohaterem dnia, choć sam ulotnił się i jest już za siódmą górą, to jest w drodze do Ameryki. A może nawet siedzi pod Lwowem u znajomego, bo i to się czasem zdarza i spokojnie czyta, co o nim piszą dzienniki. Pozostał natomiast we Lwowie wykiwany dr. Munk, który stracił na tym interesie około 300 000 kor. i nie pokazuje się nawet na ulicy, aby nie oglądać kaloszy nawet na obcych nogach. Dał sobie słowo, że sam nigdy kaloszy nosić nie będzie, choćby lwowskie błota sięgały nie jak dotąd do kolan, ale po szyję.

Z innych sensacyi mieliśmy teatr tresowanych dzieci, które śpiewały na scenie lwowskiej opery, wywołując zachwyt zapowiedziany na afiszach i zgrzytanie zębów nie zapowiedziane na afiszach. Recenzenci muzyczni naszego miasta z początku nie mogli przyjść do słowa, bo czekali na zaokrąglenie wrażenia, ale należy stwierdzić, że zachowanie się śpiewających dzieci nie zostawiało przez cały czas nic do życzenia i ani razu nie zachodziła potrzeba interwencyi niańki, czekającej za kulisami z pieluchami, ceratką i pudrem Haya. Niektóre z tych dzieci zdradzały pewne zaniepokojenie, co tłomaczy się ich żalem za pozostawionem we Włoszech potomstwem. Dziecinna bowiem primadonna zostawiła w domu trzy córki i jednego syna, który kształci się od dłuższego czasu w szkole kadeckiej i dosłużył się już rangi zastępcy kadeta.

Ale opera miała powodzenie, czego najlepszym dowodem jest, że wyjechała cało i zdrowo ze Lwowa.

Na poczcie ani w Banku krajowym w tym tygodniu nic nie skradziono, wobec czego z kroniki złodziejskiej żadnej sensacyi zanotować nie można, co samo już jest także sensacyą dla siebie dość wielką.

Na zakończenie muszę jeszcze zadość uczynić żądaniu p. Rawity Gawrońskiego, który w liście nadesłanym naszej redakcyi znowu żali się na lwowskiego korespondenta za posądzenie pana A. Milskiego o sfałszowenie podpisu p. Gawrońskiego, na wyjaśnieniu zamieszczonem w poprzednim numerze. Stwierdzam więc, że p. Milski „nie sfałszował“ tego podpisu, lecz podpisał p. Gawrońskiego za jego pozwoleniem. Przytem przysięgam na honor księdza Stojałowskiego, że nigdy więcej o Tow. Dziennikarzy lwowskich pisać nie będę, ani o jego członkach. Pisałem, sądząc, że się znają na żartach. Więc przepraszam, przepraszam... *Klewe.*

WŁADIMIROW.

Wykradzenie więźniów z Pawiaka.

4

Te słowa raziły ich, jak grom. Były one tak nieoczekiwane, że w pierwszej chwili nikt temu nie uwierzył.

Policyant powtórzył pytanie:

— Czyż nie możecie mnie poznać, towarzysze.

I dopiero teraz zrozumieli wszystko... Zrozumieli że to nie strażnicy policyjni, lecz swoi, którzy szli na śmierć, żeby ich wybawić od śmierci.

Szczególną, szaloną radość odczuł M. W ciągu tych krótkich chwil przeżył on niezapomniany nigdy w życiu moment przejścia od przygnębiającego, ponurego nastroju, wobec oczekiwanej śmierci, do uniesień pełni życia na wolności.

Ten gwałtowny przeskok od śmierci do życia wstrząsnął całe jego jestestwo duchowe, wypełniając jego duszę i serce uczuciem tryumfu.

Nagle kareta stanęła...

Wszyscy drgnęli i wytężyli czujność. Zrozumieli, że w tej chwili nastąpi ważny moment — uwolnienie się od ajenta policyjnego.

Każdy zadrżał mimowoli na myśl:

— Czy się uda?

Pseudo-policyant rozdał pospiesznie wszystkim uciekinierom zapasy rewolwerowe, jakie miał przy sobie, otworzył przegrodę wewnętrzną i wsłuchiwał się trwożnie w to, co się działo nazewnątrz karety.

Po upływie kilku ciężkich minut naprężonego oczekiwania dało się słyszeć jakieś zamieszanie, tupanie nóg, następnie drzwi zewnętrzne karety otworzyły się i rzucono im na kolana ajenta policyjnego, zdrętwiałego ze strachu.

Drzwi zatrzasnęły się i kareta pomknęła spiesznie w dalszą drogę.

Wszyscy odetchnęli, z uczuciem ulgi bezmiernej

XI. Ocalenie.

Teraz towarzysze mogli przypuszczać, że już są blisko celu, o ile tylko jakaś nieprzewidziana okoliczność nie popsuje im szyków. Trzeba było się spieszyć, żeby zdążyć na krańce miasta, w miejsce uprzednio umówione. Droga była jeszcze daleka, trzeba było przejechać całe miasto i dosięgnąć ogrodów... Czasu było niewiele.

Na dalekim horyzoncie zajaśniało wąskie pasmo świtu. Nowy woźnica nieustannie popędzał parę sytych, mocnych koni i kareta mknęła bardzo prędko, spotykając na drodze patrole wojskowe i pojedyńczych, opóźnionych przechodniów, nikt jednak nie zwracał na to uwagi, dokąd tak pędził wóz więzienny i jaki jest przy nim konwój.

Wreszcie okazały się małe drewniane domostwa, długie parkany i ulice niebrukowane.

Karetka wjechała już na przedmieście Warszawy i spieszyła minąć je prędzej, gdyż punkt upatrzony leżał jeszcze w znacznej odległości, tam gdzie zaczynały się głuche pustkowia podmiejskie.

Tu nikogo już nie spotykali na drodze, gdyż wszystko było w śnie pogrążone.

Było to na rękę uciekinierom.

W tym czasie gdy karetka pędziła po ulicach Warszawy, na drugim jej krańcu, na pustem, porosłem trawą podwórzu grupa rewolucyonistów oczekiwała z denerwującą niecierpliwością. Byli oni delegowani przez partyę na sukurs towarzyszom i stanowili rezerwę.

Obowiązkiem ich było zabrać wszystkie rewolwery i w razie potrzeby lub jakiegokolwiek alarmu, torować drogę ogniem.

Zbyt długo wyczekiwali karety więziennej i przejęci byli ogromnym niepokojem, gdy ta nie zjawiała się w oznaczonym czasie.

— Czem taką zwłokę objaśnić? Czy nie stanęło co na przeszkodzie? — myśleli, pełni trwogi.

Podwórze leżało na pustkowiu bezludnem. Było ono otoczone drzewami, krzakami i gęsto porosłe trawą; dalej ciągnęły się ogrody i niewielkie pole.

Miejsce było bardzo odpowiednie, by bez przeszkody przebrać się, ukryć konie i karetę więzienną.

Odszukanie takiego miejsca, odpowiadającego wszelkim wymaganiom ostrożności, wymagało wiele czasu i trudu, żeby usunąć zamki i zapory u wrót i zawładnąć niemi na czas oznaczony, co wszystko trzeba wykonać bez zwrócenia uwagi sąsiadów.

Sam właściciel podwórza znajdował się w tym czasie w mieście, nie wiedząc o niczem.

Towarzysze wsłuchiwali się pilnie w najmniejsze szmery, w dalekie, ledwie dosłyszalne odgłosy, idące z wielkiego miasta. Serca ich biły trwożnie.

Lecz oto doleciały jakieś niepewne dźwięki, daleko, daleko... Potem dał się słyszeć tupot nóg końskich, coraz wyraźniej, coraz bliżej. Można już było rozróżnić ciemne kontury długiego pudła...

Wrota otwarły się momentalnie i gdy kareta wtoczyła się na podwórze, konie przywiązano do drzewa, otworzono drzwi więziennego pudła i wyciągnięto stamtąd nieprzytomnego ze strachu woźnicę, którego usta wciąż były chustką zatkane; związano mu sznurem jedwabnym ręce i nogi, umocowali lepiej chustkę, skropili ją chloroformem, by mocniej zasnął i wepchnęli ponownie do karety.

Kilku towarzyszy było zdania, żeby go życia pozbawić, gdyż znano go jako skończonego łotra, który brał udział w biciu towarzyszy i odznaczał się szczególnem okrucieństwem oraz talentem szpiegowskim.

Prócz tego, niektórzy wskazywali na niebezpieczeństwo oszczędzania jego życia, ze względu na to, że weźmie żywy udział w poszukiwaniach. Nie zgodzili się na to inni, twierdząc, że jeżeli się obejdzie bez rozlewu krwi, wrażenie będzie daleko silniejsze.

Ułożywszy woźnicę wewnątrz karety, zamknęli za nim drzwi na klucz, poczem zaczęli prędko przebierać się, zrzucając z siebie uniformy i broń.

Każdemu z uwolnionych wręczone zostały uprzednio przygotowane paczki, w których były: pieniądze, paszport zagraniczny, adres z wskazaniem, gdzie ma przenocować, maszynka do strzyżenia włosów, zapałki i papierosy, które dano im, by uwolnić uciekinierów od konieczności wstępowania do dystrybucyi. Ubranie złożono do karety i wszyscy towarzysze pożegnawszy się serdecznie, zaczęli rozchodzić się w niewielkich grupach.

Odszedłszy na dalszą już odległość, jeden z towarzyszy przypomniał sobie nagle o wielkiej nieostrożności, jaką popełnił, przebierając się; w pośpiechu, zapomniał w kieszeni swego szynela policyjnego notatkę z dokładnem adresem, gdzie miał przenocować jeden z uwolnionych.

Wracać się tam, na miejsce, było rzeczą ryzykowną, poprawienie więc tego przeoczenia było spóźnione i niemożliwe; pozostawał środek ostatni — pospieszyć do mieszkania, wskazanego na adresie, uprzedzić wszystkich o niebezpieczeństwie grożącem, z tem, by mieszkańcy wynieśli się natychmiast, zacierając za sobą wszelkie ślady. Tak też uczyniono.

Gdy rano, dnia następnego do mieszkania jego przybyła policya, najmocniej przekonana, że w jej rękach znajdują się ślady ucieczki dokonanej i że niebawem pochwyci osoby, biorące w niej udział, w mieszkaniu nie znaleziono żywej duszy.

XII. Zakończenie.

Nastąpił ranek. Administracya więzienia śledczego „na Pawiaku" była niezmiernie zdziwiona, czemu tak długo nie powraca kareta więzienna i zatelefonowała do cytadeli, pytając o przyczyny opóźnienia. Odpowiedziano stamtąd, że wogóle nie pojmują wcale, o co tu chodzi.

Wówczas zatelefonowano do kancelaryi oberpolicmajstra, z prośbą o wiadomość, dokąd odwieziono dziesięciu aresztantów z więzienia śledczego na mocy rozporządzenia oberpolicmajstra Meyera i czy nie można przyspieszyć odesłanie karety więziennej, niezbędnie potrzebnej do wyprawiania kilku więźniów do sądu.

I oto dopiero teraz wyjaśniło sie, że pułkownik Meyer nie dawał żadnych rozporządzeń, i że wszystko, co zaszło, było mistyfikacyą dla dokonania zbiorowej ucieczki. Rozpoczęło się poszukiwanie karety, koni i woźnicy.

Po upływie wielu godzin usilnych poszukiwań we wszystkich stronach miasta, udało się trafić i do tej głuchej pustki — miejsca ostatnich śladów ucieczki. Związany woźnica spokojnie spał. Dalsze ślady przepadły jak kamień w wodę.

Najgorliwsze poszukiwania nie doprowadziły do żadnych rezultatów.

Cała policya była postawiona na nogi.

Powożący karetą wziął w poszukiwaniach najenergiczniejszy udział. Wynalazł on aż sześciu baronów Budbergów i dwóch starszych policyantów.

Później, wszakże, po stwierdzeniu osobistości trzeba ich było wszystkich uwolnić; widocznie woźnica pod wpływem strachu, jaki przeżył, zupełnie zatracił w pamięci fizyognomje, przelotnie widziane.

Opowiadają o jednym z dziesięciu uwolnionych, że następnego poranka udał się on do fabryki, gdzie uprzednio pracował i gdzie mu przypadały jeszcze do odbioru pieniądze.

W kantorze fabryki zdziwiono się, zobaczywszy go na wolności.

Nie odpowiadając w jaki sposób i odkąd znalazł się na wolności i nie wdając się z nikim w jakiekolwiek wyjaśnienia, otrzymał należną mu zapłatę i natychmiast się oddalił.

W mieście ucieczka ta sprawiła ogromne wrażenie. Na ścianach domów naklejono następnego rana odezwy z podpisem centralnego komitetu Polskiej Partyi Socyalistycznej o tem, że tej nocy uwolniono przez nią z więzienia śledczego dziesięciu ludzi, którym groziła kara śmierci, oraz że uwolnieni znajdują się bezpieczni po za granicami władzy.

Nie wiem, czy rzeczywiście tak było, lecz w jednym z dzienników polskich opowiadano następujący wypadek nieporozumienia między oberpolicmajstrem Meyerem, a nowym urzędnikiem, który w więzieniu zastąpił Maciulewicza.

Oberpolicmajster wezwał przez telefon dyżurnego w więzieniu i zawiadomił go, że przyśle żandarma i karetę po kilku aresztantów politycznych,

— Co — z oburzeniem zapytał dyżurny — żandarma i karetę?... Mówi oberpolicmajster... nie wierzę!... Znamy się na tem. Idźcie do czarta!.. póki nie zadzwonię do wydziału ochrany!..

Daremnie rzeczywisty oberpolicmajster starał się go przekonać, że to on, prawdziwy oberpolicmajster, nic nie pomogło, wskutek czego pułkownik Meyer musiał posłać swego pomocnika.

* * *

Ciekawym w najwyższym stopniu w życiu więzienia śledczego był ten moment, gdy dnia następnego, po wywiezieniu dziesięciu uwięzionych, całe więzienie polityczne obudziło się i przeraziło tą okolicznością.

Wszystkim wydało się dziwnem i niepojętem: dokąd i w jakim celu wywieźli najbardziej oskarżonych.

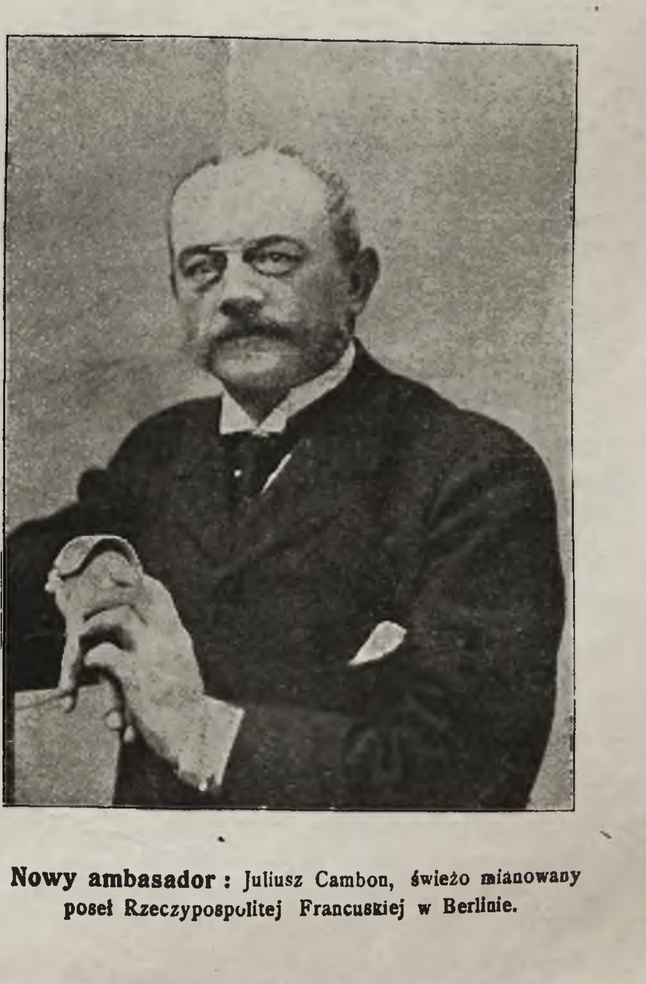
Niektórym przedstawiał się straszny obraz niezwłocznej ich kaźni... Niedawny przykład roz trzelania bez sądu 16 osób z mocy 12 art. stanu wojennego jeszcze bardziej wzmocnił przypuszczenia kilku towarzyszy, że i tych dziesięciu wywieźli po to, żeby ich stracić o świcie.

Wszyscy z tego powodu przeżywali ciężkie chwile niepewności.

Pytali nadzorców, dokąd i w jakim celu wywieziono nocą towarzyszy, lecz odpowiedzi nie otrzymano. Jakież było ich zdziwienie, gdy po przybyciu pustej karety zaczęto z niej wyrzucać szynele policyantów, czapki i szable.

Jak błyskawica, obleciała po całem więzieniu wieść, że wszyscy towarzysze uciekli, że są teraz na wolności i że w dniu wczorajszym odegrano komedyę wobec administracyi więziennej.

KONIEC.



Nowy ambasador: Juliusz Cambon, świeżo mianowany poseł Rzeczypospolitej Francuskiej w Berlinie.

LUDWIK STASIAK.

Rezygnacya.

HUMORESKA.

— No?

— Ta świnia jest chora na neurastenię. Rozumie pan?

— Dyagnoza oryginalna.

— Ale prawdziwa. Znajdę lekarstwo. Ja tę świnię na letni sezon wyślę do Kaltenleutgeben i będzie zdrowa jak rydz.

Pogodziliśmy się z weterynarzem. Postawiliśmy wspólną świńską dyagnozę, że astma jej jest nie na tle sercowem, ale na tle nerwowem. Skutkiem tego świnia otrzymała kolczyk i pozwolono mi ją sprzedać. W myśl istniejących przepisów weterynaryjno-magistrackich udałem się do likwidatury miejskiej. Likwidator zobaczył w księdze głównej, który numer ma moja świnia. Nosiła ona numer 549. Potem sprzedano mi kwit. Na kwicie pisał likwidator pół godziny. Przybił stampilię i polecił mi udać się do oficyała magistratu. Ten podał mi krzesło, abym usiadł. Dobył z biurka drukowany blankiet czerwony.

— W którym roku ta świnia urodzona?

— Jakto w którym roku?

— Muszę mieć dokładne daty urodzenia. Rok dzień i miesiąc.

O mało ze skóry nie wyskoczyłem.

— Ależ mój panie — czy ja jestem od prowadzenia świńskich metryk?

— Nie wiesz pan? Ha no, jeśli nie ma dat prawdziwych zrobi się fantazyjne. Zatem urodzona 26 maja, roku 1906.

Rzekłem z westchnieniem.

— Dziś się pozbędę tego ciężaru.

— Jakiego ciężaru?

— Sprzedam tę świnię.

Wytrzeszczył na mnie oczy oficyał.

— Pan ją chcesz sprzedać?

— Tak.

— No to pan tak gadaj. Trzeba deklaracyę nową pisać. Dla zwykłych świń jest blankiet czerwony, dla wystawionych na sprzedaż blankiet fioletowy.

Napisał urzędnik daty na blankiecie fioletowym, poczem otworzył księgę główną. Długo w niej szukał kartki i stronicy.

— Jest, jest. Pańska świnia ma u nas numer 12878.

Zerwałem się z protestem.

— Ależ nie panie. Ma numer 549.

— Kto panu to mówił?

— Likwidator miejski.

Zaśmiał się urzędnik. Patrzył na mnie jak na bzika. Patrzył się z litością.

— Trzeba panu wiedzieć że magistrat ma dwie księgi główne, prowadzące metryki świń. U mnie jest numer 12878.

— Proszę daj mi pan już paszport.

— Zaraz. Już kończę. Podpis jeszcze i pieczęć. Oto jest. Pan idziesz z nią na jarmark?

— Tak jest.

— Szkoda żeś pan nie sprzedał na przeszłym jarmarku. Świnie kupowano na wagę złota.

— Weterynarz mi sprzedać nie pozwolił.

— Czemu?

— Bo świnia miała koklusz. Miała ten koklusz w racicy prawej.

Za głowę się złapał oficyał. Wyglądał na człowieka, który będzie włosy rwać sobie z głowy. Przyskoczył do mnie, wyrwał z rąk paszport. Wrzeszczy:

— Czemużeś mi pan tego nie mówił.

— O cóż się panu rozchodzi?

— Ależ bo dla świń będących w rekonwalescencyi musi być blankiet nie czerwony, nie fioletowy, ale zielony!!

Drżącą ze złości ręką pisał urzędnik paszport zielony. Doręczył mi go i mówi:

— Proszę iść do weterynarza.

— Po co?

— Żeby panu ten paszport podpisał.

— Ja już byłem u weterynarza.

— To pan jeszcze raz pójdzie — rzekł zimno urzędnik.

A to zimno jego słów piekło we mnie zapaliło Przecie do szaleństwa człowieka może doprowadzić formalistyka weterynaryjno-magistracka. Hamując wybuch jadu, pytam się:

— Pocóż ja raz jeszcze pójdę do weterynarza?

— Żeby podpisał paszport, żeby przybił pieczęć.

— Do widzenia.

Już byłem we drzwiach, gdy urzędnik rzekł:

— A nie zapomnij pan od weterynarza iść na nowo do kasyera. On paszport potwierdzi.

Rzekłem ryczącym głosem:

— Więcej nigdzie?

— Nigdzie.

— Bo ja myślałem....

— Co pan myślałeś?

— Że paszport tej świni musi potwierdzić konsulat pruski we Lwowie.

Wypadłem na jarmark. Tu dowiedziałem się, że ceny świń spadły. Dostałem za moją piętnaście koron. Straciłem więc piętnaście. I od tej chwili z prowadzenia gospodarstwa zrezygnowałem....

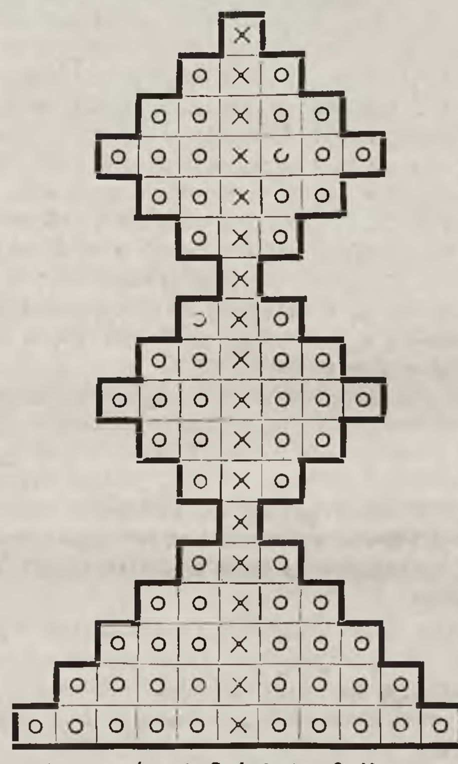
KONIEC.

Zagadki do nagrody

Łamigłówka.

Ułożył T. Domain Kołomyja.

Kółka i krzyżyki zastąpić literami w ten sposób, aby litery wstawione w miejsce krzyżyków, czytane z góry na dół utworzyły imię i nazwisko malarza polskiego.

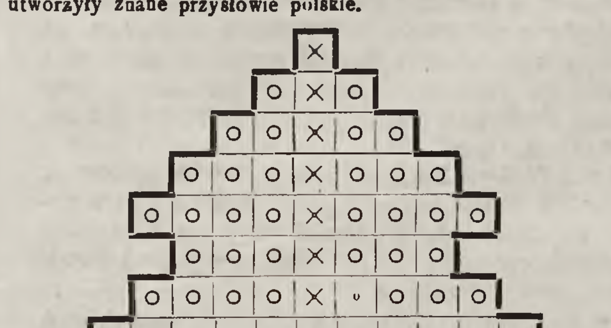


Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2 Miasto w południowej Rosyi. 3. Sławny wódz rzymski. 4. Roślina ogrodowa. 5. Bohater w tragedyi Szekspira. 6. Ryba 7 Samogłoska. 8. Papuga. 9. Miasto gubernialne w Rosyi. 10. Sławny inżynier francuski. 11. Płyn. 13. Wykrzyknik. 13. Spółgłoska. 14. Drzewo. 15. Wyspa na morzu Śródziemnem. 16. Zwierzę w Tatrach. 17. Góry w Azyi. 18. Malarz polski.

Zagadka.

Ułożył Alfred Rotter.

Kółka i krzyżyki zastąpić literami w ten sposób, by litery wstawione w miejsce krzyżyków, czytane w pionowym kierunku, utworzyły znane przysłowie polskie.

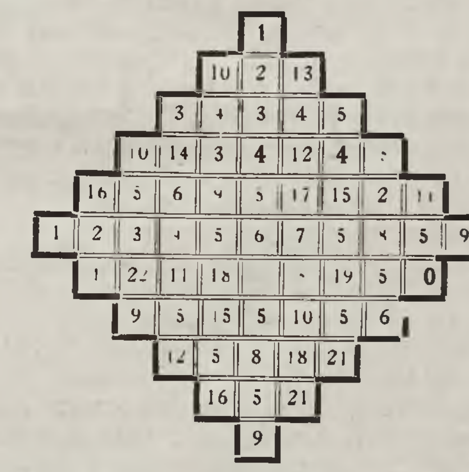


Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska 2. Rzeka w Galicyi. 3. Słynna budowla w czasach przed Chrystusem. 4. Rzeka w Galicyi. 5. Zamek nad jeziorem Gopło. 6. Część świata. 7. Nazwisko jednego z obecnych biskupów w Galicyi. 8. Założyciel muzeum tatrzańskiego w Zakopanem. 9. Artysta malarz-rysownik. 10 Niegdyś zabawa rycerska, dziś kołowa jazda dzieci na drewnianych koniach. 11. Imię i nazwisko słynnej astronomki amerykańskiej. 12. Miejsce odpustowe we Francyi 13. Założyciel nauki w Persyi i Indyach do dziś dnia się utrzymującej. 14. Nazwisko słynnego polskiego artysty dramatycznego. 15. Miasto w Rosyi 16. Ludzie trudniący się zakazanym przewozem rzeczy przez granicę cłową. 17. Imię i nazwisko polskiego komedyopisarza.

Arytmogryf

ułożył T. Domain Kołomyja.

Cyfry zastąpić literami w ten sposób, ażeby litery czytane w pionowym i poziomym kierunku, utworzyły imię i nazwisko malarza polskiego.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Rzeka w Galicyi. 3. Kwiat. 4. Kraj w Ameryce. 5. Archipelag na Oceanie Spokojnym. 6 ? 7. Dwa imiona męskie 8. Inaczej bęben. 9. Sprzęt kuchenny. 10. Przyrząd do rybołostwa. 11. Spółgłoska.

Jako nagrodę przeznacza redakcya za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek: »Trzecie Humoreski« L. Stasiaka.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 8.

Logogryf

F, e**r**a, Pr**a**ga, kom**n**ata, tę**c**za, N**i**l, Kor**s**yka, Jutr**z**eńka, Kaszt**e**lania, Julian **Kl**czko, **Fircyk w Zalotach**, Gorycy**a** Istrya, Chał**u**biński, **ł**, Alr**o**pes, Melan**c**holia, Moraws**k**i Adam, Słowack**i** Juliusz.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: S. Gajdeczka Sieniawa, B. Ramułtowa Jeżów, J. Kisielewski Kołomyja, Franciszek Niepokój Krosno. A. Lewicki Brody, K Trnka Kołomyja, Towarzystwo »Zgoda« Krosno, W. Hałdziński Lichwin, T. Domain Kołomyja, M. Świtlikowa Rzeszów, J. Haładej Borowa, koło Mielca, A. Bocsoń Bóbrka, M. Kuzia Wadowice, J Badura Rozdzień, (Śląsk Górny), Dr. Warmski Turka, Pożakowski Szczakowa, K. Fuchs Pezeniżyn, H. Zwilling Tarnów, H. Spunda Skała. A. Majewicz Kraków, L. Borodziej Bolchowce, F. Kalita Gawłuszowice.

Nagrodę otrzymał przez losowanie, p. Badura Rożdzień, p. Schoppinitz, Śląsk Górny. Prosimy o nadesłanie 35 hal. na koszta przesyłki.

NADESŁANE.

(Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności).

Sanatoryum i zakład wodoleczniczy
specyalnych chorób nerwowych
DRA KUPCZYKA
Kraków, ul. Szujskiego l. 11.
Kąpiele gazowe z kwasem węglowym (nauheimskie) - - Kąpiele wodoelektr.

(W interesie każdej pani) leży, przed załatwieniem zakupów, potrzebnych na sezony wiosenny i letni artykułów, zażądać od znanego wielkiego magazynu: »Au Prixe Fixe« Wieden I. Graben 15. zupełnie bezpłatnego przesłania, właśnie co dopiero zestawionych, zasobnych kollekcyi wzorów i illustrowanych czasopism mód, gdyż, mając je pod ręką można się tak co do panującej mody, jakoteż o szczególnej sprawności tego solidnego zakładu znakomicie i najlepiej przekonać.

